Nr 15
20. X. 1946 r.

TYDZIEŃ

Cena 12 zł

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE



W DZISIEJSZYM NUMERZE PISZĄ: JAN BRZECHWA • ZYGMUNT FIJAS • ADAM RAPACKI • ALEKSANDER THEN • JERZY WYSZOMIRSKI

IGRASZKI ATOMOWE

I „PAMIĘTNIK STAREGO SUBIEKTA"

Teraz znowu jakieś samoloty. Samoloty B50 specjalnie skonstruowane do przewozu bomb atomowych. 50 takich samolotów — superfortec zamówiły podobno wojskowe władze amerykańskie w pewnej fabryce lotniczej. Przynajmniej taka transakcja została ujawniona. I to akurat w momencie podjęcia plenarnych obrad konferencji pokojowej w Paryżu.

Jeżeli ta wiadomość nie wywołała dość silnego wrażenia w świecie, jeżeli giełdy nie zareagowały gwałtowną zwyżką dolara, to zapewne dlatego, że efekty tego rodzaju już zaczęły nużyć monotonią.

Od pierwszych dni konferencji pokojowej każdy ważniejszy jej moment znajduje „odpowiednik" w postaci różnych eksperymentów atomowych. A więc w okolicach sławnej od niedawna wyspy koralowej Bikini rzuca się bombę na kozy, umieszczone no wrakach. Wraki toną, to znowu — nie toną; kozy ubrane w azbestowe kostiumy nie chcą zdychać, to znowu zdychają po pewnym czasie. Po jednym eksperymencie przychodzi drugi, bardziej jeszcze efektowny, przy innej, dobrej okazji. Pewien pułkownik wyspecjalizował się już jako impresario w aranżowaniu niesamowitych widowisk na nieograniczonej arenie oceanów.

To znowu — wiadomości „atomowe". Również kolportowane w odpowiednich „momentach psychologicznych". Bomba atomowa, wykradziona przez tego tamtemu. Bomba atomowa tu, bomba atomowa tam.

Za dawnych dobrych czasów przygrywką do wytwornych rozmów dyplomatów bywały „przegrupowania" wojsk. Dzisiaj — niebezpieczne igraszki z diabelskim wynalazkiem, który, na dobrą sprawę, mógłby podobno przy „niewłaściwym użyciu" rozsadzić kulę ziemską i spowodować wieczny już pokój i wieczny spoczynek.

Czy samoloty B50 rzeczywiście zostały zamówione, czy rzekomy, straszliwy ładunek ich rzeczywiście istnieje? Czy kozy na wyspie Bikini zdechły od razu, czy później, a jeżeli tak, to po jakim czasie i czy w ogóle zdechły? Odpowiedź na te pytania nie jest ważna dla niniejszych rozważań. Bo, ostatecznie, żaden, myślę, na świecie publicysta, łącznie z bezpośrednimi obserwatorami na wyspie Bikini nie potrafi dzisiaj określić rzeczywistej skuteczności bomby atomowej. Nieliczne tylko i bardzo ekskluzywne grupki specjalistów i badaczy ...a i to...

W czasach, kiedy świat gotował się po cichu do rozegrania I-szej wojny światowej, znaleźli się już ludzie, którzy przestrzegali, że wojna przy dzisiejszym stanie techniki, to szaleństwo. Ówczesny stan techniki mordowania pozostawał co prawda bardzo jeszcze w tyle w stosunku do osiągnięć dzisiejszych. Ówcześni pacyfiści działali co prawda przy pomocy argumentów dość naiwnych. Taki na przykład Bloch — głośny bankier, filantrop i pacyfista ufundował w Szwajcarii specjalnie muzeum antywojenne. W muzeum tym, obok panopticum okropności wojennych można było oglądać wykresy i obliczenia, wykazujące czarno na białym ,że wojna, wobec potęgi nowoczesnych broni nie może trwać dłużej niż przez parę miesięcy, w ciągu których armie nieprzyjacielskie wymordują się wzajemnie. Wówczas główną rewelacją był wprowadzony w użycie podczas wojny japońskiej karabin maszynowy. Obliczano, że piekielna maszynka wypuszcza w ciągu minuty tyle i tyle pocisków, trafić tedy musi tylu i tylu żołnierzy a przeto... Proste obliczenie, cyfry. Ale cyfry, obliczenia „szacunkowe" najbardziej bywają zawodne. I wbrew wszelkim obliczeniom wojna światowa wytrwała swoich kilka lat.

Wszyscy pamiętamy zapowiedzi blitzkriegu, poprzedzające wojnę ostatnią. Blitzkrieg rzeczywiście był, ale tylko w stosunku do przeciwników wielokrotnie słabszych. Pamiętamy też przewidywania rozstrzygającej roli gazów, które w rezultacie w ogóle nie zostały użyte, chociaż żołnierze przez pełnych pięć i pół lat obijali sobie boki niepotrzebnymi, jak się okazało, maskami gazowymi.

Tak w jednym, jak i w drugim wypadku rachuby na jakiś uniwersalny, ultramorderczy środek, któryby miał sam jeden przechylić zwycięstwo na stronę jego posiadacza, okazały się zawodne.

Nie wiemy, jak jest teraz. Nie wiemy jak jest naprawdę z bombą atomową. Nie wiadomo, kiedy się dowiemy. Raczej byłoby lepiej, żebyśmy się nigdy nie dowiedzieli. Sądzę, że dyskutowanie na ten temat byłoby zajęciem jałowym. Natomiast stwierdzić trzeba, że dwie ostatnie wojny, nie potwierdzając przewidywań o broni „uniwersalnej", dowiodły niezbicie, iż każda wojna następna jest bardziej krwawa od poprzedniej; że ofiary w ludziach i dobrach materialnych wzrastają, w postępie geometrycznym; że nie może już być zdobyczy, któreby opłaciły poniesione przez zwycięzcę straty; że Hitler raz jeden przewidywał słusznie, mówiąc, że w wojnie następnej „nie będzie już zwycięzców i zwyciężonych, a tylko ci, którzy wojnę zdołają przeżyć".

Dalecy jesteśmy niestety od wnioskowania, że wobec tego przeżyliśmy wojnę ostatnią, że wojna następna byłaby „zbyt już wielkim szaleństwem".

Kalkulując na zimno rachunek przyszłości, trzeba brać, niestety, pod uwagę również i współczynnik tkwiącego w ludzkości szaleństwa, oraz to, że szaleństwo, niestety, nie ma granic.

Z drugiej strony trzeba się jednak liczyć również i z czynnikiem ludzkiej rozwagi. Że dzisiaj ryzykuje całe swoje, dosłownie istnienie również i ten, kto w ręku swoim posiada całkowitą szansę zwycięstwa. I że na to, żeby była wojna, potrzeba co najmniej, żeby chociaż jeden chciał, albo miał interes. A tu interes... Jakiż to by był interes i dla kogo!

W miesiącach przedwrześniowych mówiono, że w Europie nagromadziło się tak wiele armat, iż w końcu zaczną one strzelać same. Teraz można niemal powiedzieć, że zginęło tak wielu i zniszczono tak wiele, że nie byłoby się już komu bić i z kim, i nie byłoby o co Jeżeli to przesada w stosunku do reszty świata, to bardzo niewielka przesada w stosunku do nas. Przy naszym wykrwawieniu i wyniszczeniu, przy naszym położeniu geograficznym możemy sobie powiedzieć, że wynik przyszłej, ewentualnej wojny będzie już dla nas mniej więcej obojętny. Komuż bowiem zależeć może po śmierci na majątku, wolności osobistej, czy dyplomie uniwersyteckim? Nie od nas zależy, nie o nas idzie, nie o nas pójdzie i nie my będziemy podliczali bilans strat i zysków. Powiedziawszy to sobie, możemy już być spokojni.

Nie bawiąc się w proroctwa, ustosunkujmy się do tego, co nam los przyniesie z pesymizmem, albo optymizmem. Będziemy wierzyli w trwałość pokoju, albo nie będziemy. To już kwestia właśnie usposobienia, wewnętrznej konstytucji psychicznej w dużym stopniu. Ale w żadnym wypadku nie będziemy spekulowali na wojnę, nie będziemy z nią wiązali żadnych rachub. Bo — trzeba to sobie powiedzieć jasno i bez obsłonek: wynik wojny zawiódł nadzieje wielu z nas, Polaków I wielu spośród nas, zawiedzionych w swych nadziejach, liczy na spełnienie swoich snów w trzeciej, następnej wojnie, której nadejścia nasłuchuje w odległym plusku wpadającej gdzieś daleko w fale oceanu bomby eksperymentalnej. Na razie w charakterze „pokazu" „naukowo" — propagandowo-cyrkowego. I wielu reaguje bardzo żywo, stanowiąc tę niezawodną część publiczności, na którą zawsze może liczyć prestidigitator.

Aż dwa domy księgarskie, wznowiły prawie jednocześnie wydanie „Lalki" Prusa. I dobrze się stało. Warto sobie przypomnieć „pamiętnik starego subiekta", jego polityczne horoskopy i rachuby na Napoleonidów. I uprzytomnić sobie, ilu też takich Rzeckich namnożyło się między nami. Tyle tylko, że wtedy były inne i dziś są inne czasy. Czasy diablo paskudne, dla naiwnych nieprzychylne. Łatwo można w dziecinnej naiwności wpaść w nieoczekiwaną kabałę, zaplątać się w ciemne, zupełnie sobie obce sprawy. I na cudzym weselu jak to mówią, oberwać guza.

M. S.

Gołąbki pokoju Wuja Sama



Armia amerykańska zamówiła 50 samolotów atomowych

WIELKI BLUFF

W tych dniach mało znana amerykańska gazeta prowincjonalna „Atlanta Constitution" przyniosła „sensacyjny" artykuł reportera Snella, jakoby Japończycy odkryli również tajemnice rozbijania atomu i robili próby z wyprodukowaniem bomby atomowej. Jeszcze na kilka dni przed kapitulacją Japonii próby te były w pełnym toku, ale uczeni japońscy zaskoczeni zostali przez oddziały sowieckie. Uczeni dostali się do niewoli i wydali władzom sowieckim tajemnice swej bomby atomowej.

Wiadomość wygląda ze wszech miar tak nieprawdopodobnie, że należałaby do kategorii zwykłych bluffów, gdyby nie fakt, że stanowi ona jeden ze środków podtrzymania w Stanach Zjednoczonych i gdzie indziej również nastrojów wojennych, nastrojów nieufności do polityki sowieckiej, zatem w zagadnieniu utrzymania i utrwalenia pokoju światowego stanowi element wybitnie destruktywny.

Bo ani osoba reportera, ani nieznane szerzej, lokalne pismo amerykańskie nie wzbudzają w krytycznym czytelniku zaufania. To pierwsze. Po drugie, wszystkie dotychczasowe publikacje anglosaskie o Japonii i Japończykach zgodne są całkowicie w jednym: Japończycy są świetnymi naśladowcami, ale nie wykazują najmniejszych zdolności do samodzielnego głębokiego myślenia, a już w dziedzinie naukowo-technicznej są zupełnymi ignorantami. Świat nie zarejestrował dotychczas ani jednego, dosłownie, ani jednego samodzielnego wynalazku japońskiego, a nagle jakiś uczony japoński odkryłby tajemnicę rozbijania atomu, tajemnicę, nad którą pracowały tysiące uczonych świata od dziesiątków lat.

Otóż nie; żaden uczony japoński tajemnicy tej nie odkrył i żadne próby z zastosowaniem atomu przy budowie bomb atomowych nie odbywały się. Ale wiadomość była potrzebna, aby podtrzymać nastroje wojenne, aby usprawiedliwić miliardowe kredyty na zbrojenia amerykańskie, wyjawione przez Wallace'a i Ickesa, aby usztywnić stanowisko rządu amerykańskiego w sprawie zachowania dla siebie tajemnicy bomby atomowej.

Gra jest zupełnie jasna i sensacja jest sensacją, ale na innej płaszczyźnie.

Bezdomni zbrodniarze

Jak się okazuje władze amerykańskie mają wiele kłopotów z uwolnionymi przez Trybunał Sojuszniczy w Norymberdze trzema lokajami Hitlera: Schachtem, Papenem i Fritschem. Nie uzyskali wstępu do żadnej ze stref okupacyjnych i muszą pozostawać pod opieką władz okupacyjnych amerykańskich, rządzących w Norymberdze. Pod opieką... zbrojną, gdyż policja niemiecka chce koniecznie wszystkich trzech zaaresztować i postawić dodatkowo przed sądem niemieckim.

Jakkolwiek uważamy wyrok uwalniający wszystkich trzech za niesłuszny, to jednak trudno się oprzeć wrażeniu, że Niemcy chcą w tej chwili uchodzić za bardziej katolickich, aniżeli sam Papież. Któżby pomyślał, że poczciwi Niemcy są tak dobrymi i od lat wypróbowanymi demokratami, że oburza ich do żywego uwolnienie trzech wybitnych hitlerowców. Przez tyle lat mieli okazję do wykazania przywiązania do demokracji, przez tyle lat mieli sposobność przeciwstawienia się narzucanemu im narodowemu-socjalizmowi, podniesienia buntu i podjęcia otwartej walki ze znienawidzonym reżimem — i nie uczynili tego.

A. T.

NARODZINY CZWARTEJ REPUBLIKI



Generał de Gaulle

W dwa lata od chwili uwolnienia Francji sprawa organizacji ustroju państwowego Czwartej Republiki nie może ruszyć naprzód. Mimo głębokich przemian psychologicznych przez jakie przeszedł naród francuski, mimo zerwania z dawnymi grzechami, tradycje Trzeciej Republiki pokutują jeszcze w szerokich masach i stanowią poważną przeszkodę we wprowadzeniu państwa na nowe drogi ustrojowe.

Gdy po wszystkich wybrykach monarchizmu z licznymi nawrotami do republikanizmu, Trzecia Republika zaczęła się rodzić po tragicznych dniach Sedanu i Wersalu, młodzi republikanie mieli zadanie do pewnego stopnia ułatwione. Gambetta i Clémenceau czerpali swój zapał w tradycjach Bastylii i barykad, starając się unikać błędów, popełnianych przez swych poprzedników w walkach o republikański ustrój państwa. Nie przewidzieli natomiast, że w okresie blisko 50 lat spokoju wewnętrznego, wolnego od wstrząsów rewolucyjnych i pokoju na zewnątrz, okupionego drogimi ofiarami zarówno prestiżowymi jak i materialnymi, ich wymarzona Trzecia Republika ugruntuje swe istnienie na dobrobycie, który doprowadzi cały naród do wygodnictwa, skoncentrowanego niemal na wysiłku w celu zachowania nagromadzonych dóbr.

Jeszcze okres między klęską sedańską a zwycięstwem 1918 roku nosił na sobie piętno jakiejś idei pielęgnowanej przez starzejącego się lecz pełnego energii „Tygrysa" Clémenceau. Tą ideą był odwet na Niemcach za rok 1871, za upokorzenie, za utratę Alzacji i Lotaryngii. Mimo dążeń do usunięcia z życia republikańskiej Francji wszelkich reminiscencyj napoleońskich, Francuz mimowoli obejmował pamięcią pełne chwały bojowej okresy obu Napoleonów. Nie można było wydrzeć z historii kart, głoszących tę chwałę Francji. W dążeniu do podtrzymania w narodzie idei odwetu na Niemcach sięgano nawet do okresu Ludwika XIV i kardynała Richelieu. Nazwy ulic, stare pałace, zamki królewskie i cesarskie, Łuk Triumfalny z wyrytymi nazwami zwycięstw napoleońskich, Louvre pełen pamiątek minionej chwały — to wszystko istniało, tego nie dało się wykreślić i usunąć, bo to była przeszłość narodu, wiecznie żywa.

W tych warunkach republikanizm gruntował się raczej jako pewna nowa forma rządów, nie zaś jako system. Zapomniano Bonapartemu, że zamachami stanu doszedł do korony cesarskiej, pamiętano natomiast, że wiódł naród od zwycięstwa do zwycięstwa; że innych narodów nie ujarzmiał, lecz niósł im nowe idee; że walczył z władcami nie z ludami. Pamiętano, że Karol X i Napoleon III stworzyli imperium francuskie. Na takiej pożywce historycznej republikanizm krzewił się jako twór papierowy, nie sięgający zbyt głęboko w psychikę narodu francuskiego, trzymający się na powierzchni raczej siłą młodej tradycji, aniżeli potężnym zrywem ludu i stałym wysiłkiem. Gdyby nie najczystszej próby żywiołowy republikanizm Jerzego Clémenceau, gdyby nie spokojna filozofia republikańska, znajdująca zastosowanie w formie rządów Gambetty, Europa byłaby świadkiem jeszcze jednego nawrotu Francji do monarchizmu. Naród pozostał wierny tym formom rządu, gdyż gwarantowały mu one pokój i dobrobyt. Na czele Francji nie stał ambitny monarcha, lecz prezydent bez władzy, a rządy republikańskie, pamiętne klęski pod Waterloo i pod Sedanem, zdawały sobie sprawę, że Francja z nieznacznym przyrostem naturalnym ludności nie może się zmierzyć z rosnącą potęgą zjednoczonych przez Bismarcka w Wersalu Niemiec.

Prężność narodu zwróciła się w tym okresie ku stworzeniu i ugruntowaniu imperium kolonialnego, zapewniającego państwu stanowisko wielkomocarstwowe, a narodowi nieznany nigdy przedtem dobrobyt. Zagony zdobywców francuskich krzyżowały się na ogromnych przestrzeniach Afryki z zagonami zdobywców angielskich, aż się spotkały oko w oko w Faszodzie sudańskiej. Od małego incydentu było krok do wojny. Byłaby to wojna dziwna, w której obie metropolie, sąsiadujące ze sobą zaledwie o La Manche, walczyłyby ze sobą w dalekich puszczach i pustyniach afrykańskich, aby mógł zatriumfować prestiż jednego lub drugiego państwa, podczas gdy u wrót ich domów w Europie czatowała potęga niemiecka, prusaczona z roku na rok.

Kto wie jednak, czy narodziłaby się „Entente Cordiale", gdyby nie było Faszody. Może jeden z największych ukoronowanych dyplomatów nowoczesnej Europy, Edward VII, nie byłby zaproponował Delcasé'mu sojuszu, zamiast wojny egzotycznej o sudańską bagatelę. Może... A przecież ów sojusz był punktem zwrotnym w całej historii ówczesnej Europy, w której nie mogły się pomieścić ambicje Wilhelma II, którego wojownicze rozkazy wprowadzały zamieszanie i niepokój na całej kuli ziemskiej.

Pierwsza wojna światowa przyniosła zwycięstwo Francji w zespole z Wielką Brytanią, z Rosją i ze Stanami Zjednoczonymi A. P. Zwycięstwo, okupione wielkimi ofiarami w ludziach, ale wyrównujące rachunek z Niemcami za klęskę sedańską. Clémenceau właśnie był ojcem zwycięstwa. Republikanin, a nie ambitny monarcha. Republikanizm stawał się systemem, który po zwycięstwie utrwalał się, gdyż posiadał już pewne, acz bardzo młode tradycje z nad Sommy, Marny, spod Verdun.

I teraz dopiero rozpoczął się wyścig do dobrobytu, do wygód, do spożywania owoców zwycięstwa. Tych zdobyczy nie można utracić. Nie można ich narazić na niebezpieczeństwo nowej inwazji. Briand miał za zadanie ułagodzenie Niemców za poniesioną klęskę. Rezygnowano krok za krokiem ze wszystkich zdobyczy za cenę pokoju. Aby odgrodzić się od Niemiec, rozpoczęto budowę potężnej linii Maginota, która stała się początkiem całego systemu defensywnego w wojsku, w polityce, w psychice. Przy takim systemie, przy zastosowaniu we wszystkich dziedzinach twórczego życia narodu doktryny defensywnej, Francja nie mogła oczekiwać zwycięstwa w drugiej wojnie światowej przy jednoczesnym stosowaniu doktryny ofensywnej po drugiej stronie Renu.



George Bidault obecny premier rządu francuskiego

Okupacja Francji po klęsce w r. 1940 odsłoniła całą bezstronność psychiki francuskiej, która od r. 1871 przeszła daleką drogę, ukołysana zwycięstwem w r. 1918 i łabędzim dwugłosem Briand-Stresemann, bezpieczna za linią Maginota. Eksperymenty Pétaina i Lavala możliwe były tylko wobec owej na klęskę nieprzygotowanej, bezbronnej w obliczu niepowodzenia i niedostatku psychiki francuskiej. Francuski Ruch Oporu zaczął tę psychikę na nowo uzbrajać, zaczął budzić uśpione zalety narodu, podniecać do oporu, do walki z okupantem. Odrodzenie narodu francuskiego było przede wszystkim odrodzeniem jego psychiki, nastawieniem jej na konieczność ofiar i rezygnacji z dobrobytu i wygody, z interesem osobistego na rzecz zbiorowego wysiłku ku odzyskaniu ducha w bezwzględnej walce z najeźdźcą.

Na gruzach zmiażdżonej przez Niemców i pochowanej uroczyście przez Ruch Oporu Trzeciej Republiki rodzi się nowa Republika, powstała z ducha oporu, z ducha sprawiedliwości społecznej, z rewolucjonizmu przeciw własnej psychice i obcemu najeźdźcy. Rodzi się w bólach całego narodu, w powszechnym głosowaniu, z którego ma wyjść projekt nowej konstytucji i system nowych rządów, oznaczających w dziejach Francji nową erę.

Aleksander Then

Czy szarytki są potrzebne?

Byłem na pewnym przyjęciu, nieco oficjalnym. Rozmowa, jak to bywa, skakała z przedmiotu na przedmiot, aż niespodziewanie zawadziła o szarytki. Za pomocą jakich ogniw pośrednich doszło do nich, nie pamiętam dokładnie, trudno bowiem uprzytomnić sobie tok rozmowy, prowadzonej w liczniejszym gronie i w dodatku przy obiedzie, czyli w nastrojach, uzależnionych od potraw i napojów. Zdaje mi się, że soczysta polędwica (był to dzień bezmięsny) wywołała w kimś asocjacje kataru kiszek: pożałował on jakiegoś znajomego, który z powodu kataru kiszek nie może, biedaczyna, spożywać podobnych smakowitości. Na to inny zauważył, że właśnie z choroby tej uleczył się radykalnie. Ktoś wtrącił coś o szpitalu. Od szpitala krok był do pielęgnowania chorych i do szarytek, które — dziwnym obrotem pogawędki — pociągnęły za sobą dalsze skojarzenia: na widownię wystąpiły zakony, duchowieństwo w ogóle, nawet Pius XII i jego wróg osobisty Żółkiewski, potem Frank, Greiser i ułaskawienie; poczem wypłynął kościół i religia, polityka i małżeństwa cywilne... Rozmowa spiętrzyła się przeraźliwie. A zaczęło się od polędwicy. Przypomniał mi się Krasicki: „Idą zatem dyskursa tonem statystycznym o miłości ojczyzny, o dobru publicznym, o wspaniałych projektach, mężnym animuszu: kopiemy góry srebra i złota w Olkuszu, odbieramy Inflanty i państwa multańskie, liczymy owe sumy neapolitańskie, reformujemy państwo, wojny nowe zwodzim, tych bijem wstępnym bojem, z tamtymi się godzim, a butelka nieznacznie jakoś się wysusza..."

Zatrzymajmy się jednak na szarytkach. Pamiętam, że ktoś począł utożsamiać je z zakonnicami; ktoś rzucił słowo: mniszki; ktoś dodał: klasztory — całkiem jak w „Panu Tadeuszu": „Ci — zwierzyny ,a drudzy w głos śmiejąc się krzyknęli: dziewczyny! Rejent szepnął: kobiety; Asesor — kokiety". Z kolei zjawiły się takie określenia, jak: próżniactwo, darmozjady, pasorzyty; w odpowiedzi na to u końca stołu rozległ się nieśmiały protest: poświęcenie się... cnoty chrześcijańskie... pomoc cierpiącym... Terefere—kuku! — ktoś na to zawołał. Tu się zaśmieli, tam krzyknięto: zdrowie dam po raz pierwszy! I być może, w owej właśnie chwili przeskoczono na Żółkiewskiego.

Muszę wyznać, że wszystkie te rozmowy wydały mi się niepoważne. Powie ktoś: stary tetryk. Przepraszam bardzo — owszem, cenię lekkość rozmowy i dowcipny „persiflage" podczas przyjemnej uczty, bawię się miłą nieszkodliwą plotką zza kulis życia — powiedzmy politycznego, literackiego itp. Czemu, przypuśćmy, nie poigrać takim tematem: dlaczego niektóre sztuki polskie są wystawiane z wielkim deficytem i w Krakowie i w Łodzi bez większych zainteresowań, a sztuka Marii Dąbrowskiej, bezspornie kasowa, nie może się doczekać wystawienia? Oto w sam raz temat intymny, obiadowy, nie nadający się do publicznych dyskusji. Tamte wydały mi się niepoważne, dlatego że... Postaram się to wyjaśnić, aczkolwiek będę musiał potrosze powtórzyć to, o czym już kiedyś gdzieindziej pisałem. Mianowicie, gdy chodziło o scharakteryzowanie cechującego nas nieraz stosunku do rzeczywistości, odwołałem się do filozoficznej uwagi pewnego myśliciela, który stwierdził, że ludzie nie potrafią częstokroć ustalić hierarchii w rzeczach i sprawach, przeprowadzić pomiędzy nimi podziału, rozgraniczać ich. Ludzie — wyraził się on — „mieszają przedmioty wyższe z niższymi", przy czym rozumiał przedmiot w sensie filozoficznym czyli przedmiotami są po prostu wszystkie elementy rzeczywistości, otaczającej człowieka, w przeciwieństwie do samego człowieka jako podmiotu poznającego rzeczywistość. Z przedmiotów człowiek robi nieraz miszkulancje, rodzaj coctailu, którego potem nie jest w możności strawić. Miesza je w każdej dziedzinie rzeczywistości: w obyczajach, w życiu towarzyskim, w polityce, w sztuce, w stosunkach międzyludzkich, w pedagogice narodowej i społecznej itd; miesza sprawy prywatne ze sprawami ogólnymi, interes osobisty z dobrem powszechnym, korzyść własną z pożytkiem obywatelskim itp. Możnaby zaryzykować hipotezę, że są społeczeństwa i narody, które niejako we krwi mają skłonność do „mieszania przedmiotów", i są inne, które ich ważność, wartość i jakość umieją rozróżniać czyniąc ów naturalny rozdział między światłością a ciemnością, jaki uczyniony został wówczas, gdy z chaosu wyłonił się harmonijny, uporządkowany świat. Być może, że my Polacy jesteśmy narodem, który ma skłonność do „mieszania przedmiotów", — gdy — powiedzmy — Szwajcar czy Anglik woli je segregować.

Oto z jakich powodów rozmowa przy opisywanej biesiadzie wydała mi się niepoważna i nawet zbudziła niesmak. Czy szarytki są potrzebne? Nie wiem, czy są potrzebne, ale zdaje mi się, że jednym tchem nie można zmieszać takiej ilości „przedmiotów", jak: szarytki, mniszki, klasztory próżniactwo, darmozjady, pasorzyty, cnoty chrześcijańskie, pomoc cierpiącym... terefere-kuku. Wydaje mi się, że wielu ludzi nie wie nawet dokładnie, co to są szarytki, i myśli na przykład że słowo „szarytka" pochodzi od przymiotnika „szary". Mnie się, powiedzmy, zdaje, że cokolwiek orzeklibyśmy o szarytkach, jedną z najtrudniejszych czynności ludzkich jest pielęgnowanie i obsługiwanie chorych. Każdy, kto miał do czynienia z człowiekiem obłożnie chorym i chorującym długo, wie, ile to wymaga cierpliwości, wyrozumienia, łagodności — czyli niezmiernych wysiłków duchowych, nie mówiąc o wysiłku fizycznym. Jakże szanować wobec tego należy tych, którzy takim trudom poświęcają się przez całe swe życie. Czy wolno, nawet przy kieliszku wina i w atmosferze wesołości, zapomnieć o hierarchii przedmiotów tak dalece, by kiepskim dowcipem rozstrzygnąć skomplikowane zagadnienie?

Mam zakorzeniony zwyczaj czytania co wieczór jakiejś starej książki na chybił-trafił; teraz, po wojnie, wybór ich mam niewielki. Gdym wrócił do domu po owej biesiadzie, sięgnąłem przypadkiem po „Ucztę" Platona. Inaczej odbywały się uczty u starożytnych Greków. Nawet przy winie nie mieszano przedmiotów. Sokrates tego nauczył. Powiadał tak: Chcecie rozmowy? O czym? O pobożności, o dobrem, o męstwie, o tchórzostwie, o miłości, o pięknie, o wiedzy, o rozwadze, o czymkolwiek... Owszem. Spróbujmy jednak naprzód wyjaśnić, co znaczą te słowa, jaką je wypełniamy treścią ,a potem dopiero zajmijmy się funkcją społeczną, narodową, filozoficzną itp. pojęć już przez nas ustalonych, ich rolą w życiu jednostki i ogółu. W przeciwnym bowiem razie będą to tylko słowa, słowa, słowa... Zapędziłem się w jałową filozofię. Ale konkretnie rzecz biorąc, dobrzeby było, gdybyśmy sobie ściślej uzmysławiali takie przedmioty, jak szarytka czy pasorzyt, Żółkiewski czy małżeństwo cywilne, Pius XII czy Frank — i tam dalej.

Jerzy Wyssomirski

Od Caen do Wilhelmshaven

Ciąg dalszy

II. Na rozstajnych drogach.

Kiedy w pamiętne dni maja 1945 roku zamilkły działa, pielęgnowana latami nadzieja powrotu do kraju rozgorzała w sercach żołnierzy polskich, rzuconych na pola bitewne Zachodu. Zdawało się, nic nie powinno stać im na przeszkodzie. Od sześciu lat, torując sobie drogę z bronią w ręku, szli niestrudzenie: kierunek Polska. W śniegach północy i w piaskach pustyni, na lądzie, na morzu i w powietrzu, wszędzie, gdziekolwiek inni bili się o wolność, zdobywał sobie żołnierz polski prawo do życia w wolnej Ojczyźnie, prawo powrotu do domu.

Lecz kiedy po dniach największej chwały otwarły się drogi wiodące do kraju — zawahał się żołnierz polski. Od sześciu lat po raz pierwszy. „Powrócić czy pozostać"— urosło dla niego do problemu: „być albo nie być". Słuchał ludzi, którzy kazali mu trwać — „Z bronią u nogi, w połowie drogi" — i ludzi, którzy uciekali z kraju; i wszystko, do czego od lat dążył przez ofiary i trudy, zdawało sie tracić sens. Słuchał głosu dalekiej Warszawy, i ogarniał go niepokój i obawa, czy nie tkwi tu jakieś straszliwe nieporozumienie.

„Kraj czeka na powrót swoich żołnierzy. Czekają na Was rodziny, czeka na Was wspólna praca dla odbudowy kraju, umocnienia jego granic" — głosiło wezwanie Rzadu Jedności Narodowej.

„Czekać, wytrwać. Zbliżają się decydujące rozstrzygnięcia" — wartkim strumieniem płynęły słowa z obozu przeciwników.



Oficer niemiecki zabity przez oddziały Wojska Polskiego, walczące na terytorium Niemiec

2.

Gdyby chociaż wiedzieć, jak TAM jest naprawdę!

Prasa emigracyjna często poruszała to zagadnienie, w poszukiwaniu dróg, które wytyczyłyby kierunek ideologiczny polskiego wychodźtwa. Niekiedy wypowiedzi powodowały całkowity chaos myśli. I tak np. jedno z pism wojskowych zamieściło w czerwcu rb. artykuł pt.: „Europejskość polskiej emigracji". W artykule tym czytamy:

„Jakże możemy się łudzić, że nasze zapewnienia „europejskości" zostaną przyjęte poważnie, jeśli patrzymy na wszystko pod katem widzenia ściśle polskim, jeśli jedynie wyjątki rozumieją, że nie ma dziś prawdziwego interesu Polski, któryby godził w interes Europy.

Jakże słusznie staramy się zwrócić uwagę świata na potworne barbarzyństwo masowych przesiedleń wtedy, kiedy godzą one w nas samych. Dlaczego milczymy, kiedy wysiedlani są Niemcy? Trzeba się zdecydować — i albo całkowicie zrezygnować z argumentów humanitarnych czy tradycji europejskiej, albo też zająć tu stanowisko uniwersalne".

„To samo dotyczy granic Polski. Albo wyrzekniemy się złudnych marzeń „mocarstwowych", domagając się nietylko scalenia Polski ale również i scalenia Europy, albo też tracimy prawo do skarg na pogwałcenie Karty Atlantyckiej".

3.

W krzywym zwierciadle emigracyjnym żołnierz widział nową Polskę, warunki życia w kraju i stosunek do powracających, i widział obraz tułaczego życia na obczyźnie, pełen ponętnych choć niesprecyzowanych obietnic. Ale tylko obietnic.

Sytuację żołnierzy polskich na Zachodzie dosadnie charakteryzuje artykuł pt. „Górnicy nas nie chcą", zamieszczony w londyńskim „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza" w dn. 1 lipca br., a więc z górą w rok po zakończeniu działań wojennych:

„Przez lata oficjalnej egzystencji tutaj nie zrobiło się prawie nic, by nawiązać poważne kontakty gospodarcze, by z bliska przyjrzeć się produkcji, by wejść w system pracy brytyjskiej i by zbliżyć się ideowo do związków zawodowych. Zrobiliśmy niezmiernie mało dla wprowadzenia Polaków do fabryk, warsztatów, garażów, portów nie jako łaskawie dopuszczonych praktykantów, ale jako pełnoprawnych robotników, majstrów, inżynierów, administratorów. W czasie wojny można to było zrobić bez wielkiej trudności. Nie doceniało się wagi stosunków ze światem gospodarczym, stosunków nie towarzysko-przyjemnościowych, ale poważnych, zbudowanych na obustronnych korzyściach".

Ze strony angielskiej przyszłość żołnierzy osnuta była mgłą tajemnicy. Nie rozproszyło jej ani oświadczenie ministra Bevina z marca 1945 roku, ani późniejsza deklaracja z maja tegoż roku, w której rząd angielski ogłosił rozwiązanie Polskich Sił Zbrojnych pod dowództwem brytyjskim i sformowanie Polskiego Korpusu Przysposobienia dla tych, którzy nie zechcą powrócić do kraju.

Jednocześnie na wyspach brytyjskich, które miały się stać przybraną ojczyzną emigracji, nastroje w stosunku do Polaków uległy zmianie. Miłość polsko-szkocka, nawiązana w latach wojny, kiedy każdy żołnierz na wyspie był pożądany, a przypieczętowana setkami małżeństw — zaczęła gasnąć. Prasa nie szczędziła przykrych pouczeń i gorzkich uwag pod adresem żołnierzy polskich, traktując ich jako intruzów. Wypowiadała się przeciwko ich przyjazdowi do Anglii i Szkocji, gdzie stawali się już przedmiotem targów i wewnętrznych rozgrywek.

4.

Wobec najsprzeczniejszych wiadomości, płynących z kraju i szerzonych na emigracji, wobec powściągliwości Anglików w wypowiadaniu się co do losów Polaków, którzy walczyli pod ich dowództwem, tragedia żołnierza polskiego osiągała punkt kulminacyjny. Perspektywy urządzenia sobie życia na obczyźnie i w kraju zdawały się być równie niewesołe. Zdawało się, że po dobrze spełnionym obowiązku wojennym dla żołnierza polskiego z Zachodu nie ma miejsca na świecie.

Jakże w tych warunkach nie zawahać się moralnie, duchowo, psychicznie?

5.

W 1. Dywizji Pancernej i w Samodzielnej Brygadzie Spadochronowej, które od zakończenia wojny pełniły służbę w ramach Brytyjskiej Armii Renu (BAOR), okupując obszar północno - zachodnich Niemiec wzdłuż granicy holenderskiej, — żyło się z dnia na dzień. Ciągłe oczekiwanie czegoś nieokreślonego, co musi nastąpić i co radykalnie zmieni sytuację — nie mogło przełamać uczucia niepewności. Nadomiar bezczynność, brak silniejszych podniet duchowych — działały demoralizująco. Niemniej źle czuli się Polacy, deportowani swego czasu do Niemiec, a którzy teraz odmawiali powrotu do kraju. Tysiące ich zgrupowanych było na obszarze okupacyjnym oddziałów polskich, w obozach i w miasteczkach opuszczonych przez Niemców, ze słynnym Maczkowem (Haren) na czele.

Niemałe spustoszenie moralne powodowało również obcowanie z ludnością niemiecką. W momencie wkroczenia wojsk alianckich w granice Rzeszy, obowiązywał zakaz fraternizacji. „Nie fraternizować się" — upominały olbrzymie tablice, umieszczone na wszystkich przejściach granicznych, prowadzących z Belgii i Holandii. Z czasem zakaz ten został złagodzony. W pierwszej połowie lipca 1945 roku ukazało się zarządzenie dowódcy XXX korpusu brytyjskiego, uchylające zakaz bratania się z Niemcami, ale tylko w miejscach publicznych i na ulicach. Nadal nie wolno było uczęszczać do domów niemieckich i podejmować Niemców (Niemek) na swoich kwaterach. Zarządzenie zupełnie nierealne, gdy się zważy, że żołnierze w znakomitej większości kwaterowali u Niemców, żyli i mieszkali z nimi pod jednym dachem. Wreszcie, w rok później, wszystkie zarządzenia nie-fraternizacyjne zostały zniesione, i pierwsze „dobre" Niemki, w roli angielskich mrs. popłynęły poprzez kanał „nach England" zamiast walecznych żołnierzy Hitlera.

6.

Dziś nadszedł moment, kiedy dzielni chłopcy spod Falaise, Gandawy, Bredy, Wilhelmshaven i Arnhem zmuszeni są powziąć postanowienie, decydujące o ich losie: powrót do kraju i praca nad odbudową ojczyzny, albo wstąpienie do Polskiego Korpusu Przysposobienia w ramach armii brytyjskiej i utrata obywatelstwa polskiego; powrót do domu, albo gorzki chleb tułaczy, jako nagroda za poniesione trudy i ofiary dla Polski i za Polskę.

S. M.



Uroczystość wręczenia sztandaru

W STALAGU VI C

Było to w czwartek, 12 kwietnia 1945 roku.

Na pograniczu niemiecko-holenderskim, pod miasteczkiem Haren, zamienionym w miesiąc później w polską osadę Maczków — saperzy 1 Dywizji Pancernej kończyli budowę mostu na rzece Ems, i zbliżała się chwila, kiedy żołnierz polski, idący z Zachodu, miał wkroczyć w walce na teren Rzeszy — gdy, jak grom, spadła na oddziały wiadomość nieoczekiwana: 2 Pułk Pancerny uwolnił obóz kobiet — żołnierzy z powstania warszawskiego.

Historia powstania była szczególnie bliska żołnierzowi dywizji pancernej. Dokładnie w dniu, kiedy losy stolicy zostały rzucone na szalę walki, dywizja zakończyła lądowanie na wybrzeżu normandzkim i w ramach „British Liberation Army" wchodziła do akcji na kontynencie. Najcięższym, najgorętszym walkom dywizji towarzyszyły następnie coraz tragiczniejsze wiadomości z ginącej Warszawy. I teraz — ta wiadomość o zwolnieniu kobiet z powstania. Czyż mogło coś bardziej poruszyć serca żołnierzy?

II.

Stalag VIC, w którym od końca 1944 roku więzione były kobiety z powstania warszawskiego, mieścił sie w pobliżu miejscowości Niederlangen, na samym pograniczu holenderskim. Dookoła jednostajną nużącą płaszczyzną rozciągały się torfowiska i mokradła.

Sam obóz niczym nie różnił się od tysięcy tego rodzaju obozów, zbudowanych przez Niemców na obszarach Europy. Druty kolczaste dookoła, wysokie wieże wartownicze i złośliwi „wachmani". Drewniane baraki, zimne i przewiewne, najbardziej prymitywne prycze 2 lub 3-piętrowe i posłania z desek, najczęściej bez słomy.

Jeśli obóz wyróżniał się czymkolwiek, to jedynie mieszkańcami. Był to chyba jedyny w historii ubiegłej wojny obóz jeniecki kobiet, obóz, w którym kobiety były traktowane jako kombatantki, na równi z jeńcami wojennymi — mężczyznami.

Warszawianki pilnie strzegły swych przywilejów kombatanckich. W obozie panował wojskowy rygor i dyscyplina. Istniały bataliony, kompanie i drużyny, były komendantki oddziałów i komendantka główna, która załatwiała sprawy z Niemcami, były służbowe na barakach i łączniczki do polskiej komendy obozu, zbiórki i przemarsze w kolumnach na plac apelowy.

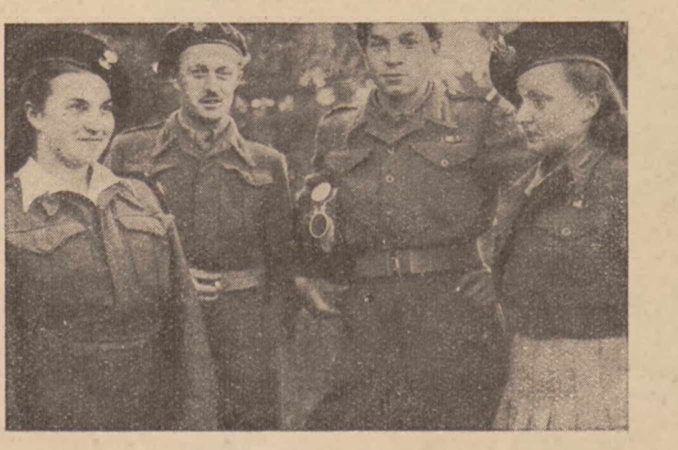
Odpowiednio do wojskowego charakteru obozu starano się dostosować wygląd zewnętrzny jeńców. Część kobiet nosiła mundury polskie, w których poszły do niewoli, część miała już mundury amerykańskie — dar amerykańskiego Czerwonego Krzyża — z jenieckim stemplem niemieckim na plecach: „Kg" lub „Kgf". Na głowach furażerki lub polówki. Niewiele chodziło w cywilu.

W obozie więziono 1728 uczestniczek powstania — szeregowych; dla oficerek istniał odrębny obóz: Oflag w Burgu. Rozpiętość wieku była tak wielka, jak na

Więzione w obozach uczestniczki powstania warszawskiego były „napiętnowane" literami KGF (Kriegsgefangen)



Po udręce niewoli przyszły dni radosne



Po wkroczeniu wojsk alianckich polskie oddziały kobiece otrzymały mundury angielskie i pełniły służbę wartowniczą





Po dniu ciężkim walki dokoła czołgów gromadzą się stosy łusek

barykadach Warszawy: kilkunastoletnie dziewczynki obok 60-letnich kobiet. I podobnie, jak na barykadach w powstaniu warszawskim, w obozie panował nastrój, który budził podziw i respekt, nawet wśród wrogów.

III.

W kwietniu 1945 roku daleki odgłos dział obwieścił, że zbliża się oczekiwana z utęsknieniem chwila wyzwolenia. W obozie zaczęto zastanawiać się, w jaki sposób należałoby powitać wkraczające oddziały alianckie, i pracowicie przygotowywano przemówienia. Oczywiście w języku angielskim. Lecz kiedy wczesnym rankiem 12 kwietnia u bram obozu ukazały się nagle bojowe wozy z białą gwiazdą wyzwolenia, i panicznie przerażona warta obozowa bez strzału złożyła broń, — w tej wielkiej chwili odzyskania wolności, obce, trudne do wypowiedzenia słowa powitania wyleciały z pamięci.

Lecz cóż to? Przebiegającemu przez plac żołnierzowi upadł magazynek od „Stena".

— Niech to jasna cholera — zaklął żołnierz z najczystszym, nadwiślańskim akcentem.

Od tej chwili w obozie zaczęły się rozgrywać sceny trudnej do opisania radości. Trwały one długo. Drogo zapłaciły za te chwile entuzjazmu „dobre" kury niemieckie, które w ogniu „Stenów" pokotem kładły się po rowach, w ostatnim jeszcze momencie usiłując dziobnąć — niczem ziarna — sypiące się w ich kierunku pociski. Do obozu w Niederlangen przewedrowały wszystkie troskliwie nagromadzone zapasy ze śpiżarni niemieckich i z magazynów dywizji, i wszystkie myśli i uczucia jej żołnierzy, wszystkie zdobyte na Niemcach pistolety i „Schmeisserv", za które najłatwiej można było zdobyć miły uśmiech i słodkie spojrzenie walecznych warszawianek: za broń, której nie było w Warszawie, i za wolność, o którą tak dzielnie walczyły, a którą przynieśli im dopiero polscy żołnierze zza siedmiu gór i siedmiu mórz.

S.M.

WŚRÓD ARCYDZIEŁ I ARCYGWIAZD

na Międzynarodowym Festiwalu w Cannes

(Od specjalnego wysłannika)

Cannes, w październiku

Francja jest w tej chwili terenem spotkań międzynarodowych. Podczas gdy w Paryżu na niekończących się posiedzeniach arcyrzeźbiarze polityczni mozolnie wykuwają pokój, — w Cannes zbierają się przedstawiciele powojennej „międzynarodówki" filmowej. Przed oczyma jury ukazują się nowe filmy, najlepsze, jakie zdołano wyprodukować w ciągu ostatnich dwóch lat. Studia całego świata zgłosiły swoje dzieła i z niepokojem oczekują na wyrok areopagu znawców.

Każdy z reprezentowanych na festiwalu krajów rzuca na szalę sprawiedliwości jeden lub kilka najlepszych obrazów, wyprodukowanych w 1946 r.

Między innymi, dwie specjalne nagrody są przeznaczone za „najlepszą scenę w najlepszej interpretacji". Artyści, którzy otrzymają to odznaczenie, są z góry desygnowani na stanowisko światowych „gwiazd".

Przyjęto zasadę, że conajmniej 50 procent zgłoszonych filmów musi nosić stygmat świeżości, czyli po raz pierwszy ukazać się na ekranie. Decyzja stała się przyczyną wielu emocyj wytwórców amerykańskich. Zmuszono ich, dosłownie w ostatniej chwili, do wyprodukowania filmów, których nikt jeszcze nie oglądał. I do śpiesznego wycofania innych obrazów z ekranów Ameryki.

Na czoło wysunął się film „Stracony Week-End". Film „Gilda" zawiera fragmenty eposu bombowego, na tle eksperymentów atomowych na Bikini. Poza tym epatuje tajemniczością nieznana jeszcze „Rapsody in Blue", co do której nikt nie umie nic powiedzieć.

Rosjanie wystąpili z dwoma kolorowymi filmami: „Parada sportowa" i „Kwiat Piotra" („La Fleur de Pierre"). Trzeci — to film dokumentalny „Berlin", przedstawiający ostatnie momenty wojny w stolicy niemieckiej.

Wśród filmów angielskich znajdujemy: „Brief encounter" z Noel Coward w roli głównej i „L'archet magique" („Czarodziejski smyczek") — rzecz o życiu Paganiniego. Wreszcie „Top secret", uchylający rąbek tajemnicy radaru. W tym filmie wystąpi jakaś nowa, zupełnie nieznana gwiazda, którą świat filmowy jest bardzo zaintrygowany.

Anglia, Rosja, Ameryka i Francja—oto najwięksi producenci. Obok nich biorą udział w konkursie: Kanada, Argentyna, Szwajcaria, Holandia, Polska, Szwecja, Meksyk, Czechosłowacja itd.

Polska stanęła do konkursu z trzema krótkometrażówkami. O jedną z nich: „Ręce dziecka" z dużym zaciekawieniem dopytuje się francuska prasa filmowa.

Francja — gospodarz festiwalu — wystąpiła z kilkoma filmami: „La Belle et la Bête" („Piękna pani i zwierzę"), „La Symphonie pastorale" („Symfonia pastoralna"), „Patrie", „Le Père Tranquille" i „La Bataille du Rail".

Francuzi twierdzą, że fesiwal będzie momentem decydującym dla filmu francuskiego. Największą technikę niewątpliwie ukażą Amerykanie, którzy w ostatnich latach w swoich atelier, położonych zdala od zgiełku wojennego, pracowali nad rewelacyjnymi, podobno, ulepszeniami, dziś po raz pierwszy demonstrowanymi światu.

Jury, w którego skład wchodzą przedstawiciele wszystkich uczestników konkursu narodów, będzie miało trudne zadanie. Z masy niewątpliwych arcydzieł sztuki filmowej wypadnie wybrać jedno „arcydzieło". Poza tym trzeba będzie kreować nowe gwiazdy. Tym wyborem świat zawsze interesował się tak, jak... wyborami.

W. Korycka

MY SAMI W NOWEJ GOSPODARCE

IV. KTO SIĘ BOI CZARNEGO LUDA

TRZEJ SĄSIEDZI

W polskiej gospodarce narodowej sąsiaduje ze sobą trzech gospodarzy: państwo, spółdzielczość i inicjatywa prywatna. Stosunki nimi układają się rozmaicie; dwóch z nich łączy rozmaity cel. Państwo ludowe i spółdzielczość pracują dla dobra pracujących.

Trzeci gospodarz — inicjatywa prywatna — ma własne cele. Cele te same: interes osobisty poszczególnych przedsiębiorców prywatnych.

Ten cel, jak za dobrze wiemy, nie zawsze jest zgodny z interesem narodu pracującego. A przecież nowa gospodarka polska, nie ma być takim sobie domkiem, gdzie każdemu Tomkowi wolno, jak chce, ale ma być składną fabryką, która jako całość ma pracować dla jednego pana — dla narodu pracującego.

Co zrobić z inicjatywą prywatną? Z własnością prywatną? Usunąć czy zostawić?

Ekonomiści kapitalistyczni dowodzili (było to dawno), że inicjatywa prywatna jest z zasady dobra. bo służąc sobie, służy całemu narodowi. Szybko powstała przeciwna teza: inicjatywa prywatna jest z zasady zła — bo interes prywatny panuje w niej nad interesem narodu.

My w Polsce powiedzieliśmy: inicjatywa prywatna, własność prywatna — nie jest zła, ani dobra z zasady. Jest zła, kiedy chce panować, jest dobra kiedy może służyć interesowi narodu pracującego. Usunęliśmy ją wobec tego z tych wszystkich dziedzin, gdzie się panuje nad gospodarką — z kluczowych gałęzi gospodarstwa narodowego. W dziedzinach służących człowiekowi — pozostawiliśmy ją. Zobaczymy, czy pozostając sobą, będzie służyć dobrze. Ale służyć musi. To jest zasada i warunek. Tym więcej miejsca na ziemi — im lepsza służba potrzebom pracujących.

RYWALIZACJA, CZY WSPÓŁDZIAŁANIE

Egzamin życia ma odbyć inicjatywa prywatna na tym samym obszarze gospodarczym, na którym rozwija się spółdzielczość. A więc rywalizacja, czy współdziałanie? Jedno i drugie.

Współdziałanie — bo jedna i druga mają służyć ostatecznie temu samemu celowi: jak najlepiej zaspokoić codzienne potrzeby pracujących.

Rywalizacja — bo chodzi o to, kto lepiej te potrzeby zaspokoi.

POGRÓŻKI I OBAWY

Czy przedsiębiorstwa prywatne dotrzymują kroku spółdzielczości?

Wielu spółdzielców twierdzi, że nie. Że własne przedsiębiorstwo pracujących zawsze będzie lepsze, tańsze dla nich, bo odda im zysk, który prywatny przedsiębiorca chowa do własnej kieszeni. Że wobec tego, spółdzielczość musi zwyciężyć na całej linii, że musi wyprzeć z rynku wszystkie przedsiębiorstwa prywatne.

I od wielu dziesiątków lat spółdzielcy odgrażają się inicjatywie prywatnej. Skutecznie — bo ogromna większość kupców, drobnych przedsiębiorców i w ogóle ludzi, wyznających kult inicjatywy prywatnej — boi się „Spółdzielczość nas zje". „Spółdzielczość to komunizm, który puści z torbami uczciwych i spokojnych kupców". „Spo-łem" — woła o nasze głowy.

NIE SIĘGAĆ JĘZYKIEM DŁUŻEJ RAMIENIA

Nie trzeba grozić i, jeśli się ma czyste sumienie, nie trzeba się bać.

Nie trzeba grozić — bo zawsze lepiej działać, niż grozić. Nawet wtedy kiedy można zdziałać, a cóż dopiero wtedy, kiedy nie można zdziałać tyle, ile się grozi. A moim zdaniem — spółdzielczość nie jest groźna dla dobrego kupca, który chce i umie służyć interesom swych pracujących klientów. Tak dowodzi życie i rozum. Po co więc sięgać językiem dłużej ramienia? Po co straszyć tych, których nie można uderzyć.

A kto się boi ma nieczyste sumienie. Jeżeli się boi — to widać albo nie chce, albo nie może służyć społeczeństwu tak dobrze jak służy spółdzielczość. Po prostu nie wierzy w wartość społeczną inicjatywy prywatnej.

KOMU NIE SZKODZI SPÓŁDZIELCZOŚĆ

Prawdą jest, że spółdzielnie nie dążą do zysku. Że chcą służyć jak najtaniej pracującym. Prawdą jest, że albo nie wkalkulowują zysku do ceny, albo go zwracają swym klientom w końcu roku, co wychodzi na to samo: na tak, czy inaczej niższą cenę usług pośrednika. I do tej ceny musi się kupiec prywatny przystosować, albo wyjść z rynku. To może być przykre dla niego, ale bardzo pożyteczne społecznie. Czy to jest jednak bezapelacyjny wyrok śmierci dla każdego przedsiębiorcy prywatnego? Czy przy takich cenach nie będą mieli z czego żyć?

Przedsiębiorca prywatny żyje z trzech źródeł dochodu: z opłaty za swą pracę kierowniczą, o ile sam kieruje, z opłaty za swój kapitał, który w przedsiębiorstwo włożył i tego co mu się ponadto da wyspekulować na grze cen.

A spółdzielnia? I ona musi utrzymać kierownika, musi opłacić kapitał zaangażowany w przedsiębiorstwie, i jedno i drugie musi wkalkulować w ceny swych usług. Nie chce tylko zysku ze spekulacji na ruchu cen, i ten zysk zwraca swym członkom — klientom.

Przedsiębiorca prywatny, który zgodzi się na wynagrodzenie za swą pracę takie, jakie pobiera kierownik spółdzielni, na takie wynagrodzenie swego kapitału, jakie płaci spółdzielnia za kapitał u niej pracujący — może konkurować ze spółdzielnią. Pod dwoma warunkami jednak: że będzie conajmniej tak sprawny, jak spółdzielnia, i że wyrzeknie się wszelkich zysków spekulacyjnych — bo te nie mieszczą się w kalkulacji spółdzielni. To znaczy będzie miał koszty własne co najwyżej, jak spółdzielnia.

Krótko: przedsiębiorca prywatny, który będzie mógł i będzie chciał również dobrze służyć pracującym, jak oni sami sobie służą we własnym przedsiębiorstwie spółdzielczym — może nie bać się „czarnego luda" spółdzielczego. Takiemu spółdzielczość nie szkodzi.

A KOMU SZKODZI?

Spółdzielczość za to na pewno szkodzi dwóm typom przedsiębiorcy prywatnego: przedsiębiorcy niedołężnemu — który nie umie dobrze służyć potrzebom swych klientów, i przedsiębiorcy — spekulantowi, który chce wyspekulować sobie wyższe dochody, niż sprawiedliwa płaca i minimalne oprocentowanie kapitału — przedsiębiorcy, który nie chce dobrze służyć swym pracującym klientom. Tacy przedsiębiorcy mają wszelkie powody bać się spółdzielczości. I to są właśnie ci, którzy najgłośniej krzyczą o komunistycznym niebezpieczeństwie pod spółdzielczą maską.

Ale właśnie dlatego, nie trzeba ich słuchać. „Kto krzyczy — nie ma racji". Nie ma racji bytu w ustroju ludowym Polski ta inicjatywa prywatna, która nie może albo nie chce służyć ludowi tak dobrze, jak on sam potrafi sobie służyć. Nie ma racji przedsiębiorca prywatny, którego spółdzielnia usuwa z rynku. Racją ma spółdzielnia.

Służba potrzebom pracujących — jest racją bytu inicjatywy prywatnej w polskiej gospodarce demokratycznej. Spółdzielczość, która wraz z państwem ludowym — zmusza inicjatywę prywatną do takiej właśnie służby, nie jest wrogiem, ale warunkiem istnienia zdrowej inicjatywy prywatnej w nowej gospodarce Polski.

SMUCIĆ SIĘ, CZY SIĘ CIESZYĆ?

Niektórych spółdzielców takie rozsądzenie sporu z inicjatywą prywatną może napawać smutkiem. Że nie nad wszystkimi sklepami zawisną szyldy spółdzielcze, że nie wszystkie wystawy przystroją się tęczowymi barwami w dniu spółdzielczości.

A raczej trzeba się cieszyć. Bo oto okazuje się, że nie taka daleka jest droga do chwili, kiedy spółdzielczość będzie mogła spełnić swój obowiązek — podporządkować człowiekowi pracy — gospodarkę, która powinna mu służyć. Nie trzeba na to zdobywać wszystkich przedsiębiorstw, do czego daleko nawet spółdzielczości brytyjskiej po stu latach niezakłóconego spokoju. Wystarczy tylko silna część. Nie trzeba wszystkich przedsiębiorstw organizować po spółdzielczemu — żeby wszystkie pracowały tak rzeczywiście, jak spółdzielnie. Ten sam cel — znacznie bliżej.

I powinni cieszyć się spółdzielcy, którzy martwią się nieraz, że spółdzielnie ich, chociaż pracują dobrze, nie mogą wyprzeć konkurentów prywatnych. Że ich ceny nie są niższe, że pomimo wysiłków nie mogą członkom dać zwrotu od zakupów. Że nie widać wyników. Tak jest — wyników nie widać — ale wyniki są. Bo jeżeli sumienie kierowników spółdzielni jest czyste, jeśli pracują dobrze, a mimo to konkurenci żyją — to znaczy, że spółdzielnia zmusiła ich do równie dobrej pracy, jak własna. To znaczy, że dzięki spółdzielni wszystkie sklepy obsługują całą ludność, że dzięki spółdzielni wszystkie sklepy wszystkim pracującym udzielają „zwrotów od zakupów". Wyniki są, ale namacalnie możnaby je ocenić tylko wtedy — gdyby można było zobaczyć, coby się działo, gdyby spółdzielni nie było. A to „na szczęście" trudno zobaczyć.

DOSYĆ POLA DLA AMBICJI

Takie patrzenie na rolę i rozwój spółdzielczości nie może obniżyć lotu ambicji pracowników spółdzielczości. Przeciwnie. Nie może być zadowolona z siebie spółdzielnia, która sprzedaje n.p. papierosy amerykańskie po 8 zł, podczas gdy jej prywatni konkurenci sprzedają je po 12 zł. Bo to znaczy, że spółdzielnia źle pracuje. To znaczy, że za mało jest jej sklepów, że ich prężność jest za słaba. Trzeba swoją niską cenę narzucić wszystkim sprzedawcom. Każdy prywatny kupiec musi czuć w pobliżu konkurencję sklepu spółdzielczego. Dlatego to spółdzielczość rzuca hasło „1 sklep na 1000 ludności".

Ale i tego mało. Nie dość narzucić swe warunki dobrej służby spółdzielczej wszystkim konkurentom. Trzeba te warunki poprawiać — zmuszać do poprawy innych.

Służyć jeszcze lepiej, przodować. Dosyć pola do ambicji.

MY SAMI

Nauka, która płynie z takiego myślenia — to nauka odpowiedzialności. Spółdzielczość odpowiada nie tylko za swoją własną dobrą służbę wobec swych własnych członków. Odpowiada za dobrą służbę całego aparatu pośredniczącego — wobec wszystkich pracujących.

A za spółdzielczość odpowiadamy my sami — pracujący. Bo my rządzimy spółdzielczością.

Tak będzie służyła gospodarka narodowa naszym codziennym potrzebom jak my sami sobie we własnych przedsiębiorstwach potrafimy służyć.

Odpowiedzialność za siebie jest zasadą i szkołą dojrzałej demokracji. C. d. n.

Adam Rapacki

POZNAŃ ZNÓW POD ZNAKIEM TARGÓW

CUD ODBUDOWY

Kto znał gród Przemysława przed wojną, ten na widok jego ruin po wyzwoleniu zasłaniał oczy i doznawał ucisku w gardle. Ale kto znał poznaniaków, otrząsnął się z tego pierwszego wrażenia i ulegał wierze, że odbudowa nie potrwa tu zbyt długo, i że miasto odzyska wkrótce sławę wzoru, porządku i wysokiego standartu.

Częściowy na razie renesans Targów jest imponującym fragmentem odbudowy miasta. Poznań dźwiga się usilnym staraniem państwa, samorządu, inicjatywy społecznej i prywatnej. Jednym gmachom przywrócono już dawną integralność przestrzenną, choć nie zawsze jednolitość kolorytu; drugie są w stadium przybierania pierwotnych lub zaplanowanych kształtów. Jeszcze inne czekają na swą kolejkę, bo przecież — mimo wszystko — „nie od razu Kraków zbudowano"...

NA TARGACH

Lśniły z dala bielą świeżego wapna, z którą zlewała się biała połowa sztandarów, łopoczących na wietrze jesiennym. Do uszu gości przepychających się przez bramę wejściową, dolatywały dźwięki koncertu reklam, nadawanego przez miejscowe Studio Radiowe. Spojrzenia i kroki kierowały się odruchowo najpierw ku oszklonej kabinie, oblepionej ciągle przez gapiów, nie zwracających uwagi na sąsiednią ciekawą mapę rozmieszczenia głównych agend Ministerstwa Leśnictwa z zaznaczoną pośrodku na zielono Łodzią. Po drugiej stronie przylegało do Studia stoisko, poświęcone radiofonizacji polskiej wsi. Refleksje budził romantyczny model zagrody chłopskiej, krytej jeszcze słomą, a już wyposażonej w antenę i odbiornik. Prawdziwa parafraza „zbłądzenia pod strzechy"...



Główny pawilon Jesiennych Targów Poznańskich w 1946 r.

Targi, urządzone pod hasłem **„odzież i dom"**. dawały pokaz urządzeń mieszkań okazalszych. Roiło się od mebli wszelkiego rodzaju i po różnych cenach. Uwagę przykuwała szczególnie ta część stoiska Centralnego Zarządu Przemysłu Drzewnego, która demonstrowała komplet skromnych, lecz solidnych i ładnych mebli, wykonanych z drzewa dębowego dla Anglii. Tego rodzaju sypialnia produkcji jarocińskiej ma kosztować zaledwie 28.000 zł., kuchnia 22.000 zł. Czy takie zamówienia zagranicy niczego nas nie uczą? Tymczasem odejdźmy i podziwiajmy liczne luksusowe i drogie garnitury, przeważnie produkcji swarzędzkiej. Bardzo efektowne i bogato zaopatrzone było stoisko Centrali Zbytu Porcelany, Fajansów i Wyrobów Szklanych. Przemysł budowlany reprezentowany był m. in. przez państwowe Centrale; komunalne Zakłady Siły, Światła i Wody oraz prywatną firmę, produkującą kafle i piece.

Artykuły odzieżowe wystawiły znów przede wszystkim Centralne Zarządy. C.Z.P.S. demonstrował futra i wyroby skórzane, a kończące pawilon wielkie stoisko C.Z.P. Wł. dzierżyło prymat dzięki barwnemu i pomysłowemu rozmieszczeniu wielu towarów łokciowych i konfekcyjnych. Prawdziwą przyjemność sprawiało oglądanie samodziałów toruńskich i koronkarstwa chałupniczego z dalekiej i małej mieściny Bobowa.

Do szczegółów, zasługujących na uwagę, należały szamotulskie witraże i rzeźba matki z dzieckiem, wykonana w Pierwszej Mistrzowskiej Szkole Rzeźby w Cieplicach.

Godnie przedstawiało się stoisko „„Społem". Obok obfitego w eksponaty — tak różne, jak różna jest działalność wytwórcza tej centralnej instytucji spółdzielczej, — była przedmiotem żywego zainteresowania wgłębiona ściana, pełna malowideł i napisów, obrazujących idee i działalność świętującej właśnie polskiej kooperacji.

Zbiorowo i z podobną rozmaitością towarów wystąpiły Izby: Przemysłowo-Handlowa i Rzemieślnicza.

Widzieliśmy wreszcie stoisko, które dla publiczności, zwłaszcza zwiedzającej bez intencji handlowych, starczyć mogło za wszystkie. Tą prawdziwą miniaturą całości Targów była przestrzeń, zapełniona przez zakłady Dyrekcji Przemysłu Miejscowego na woj. poznańskie. Mnogość, jakość i ceny wystawionych artykułów odzieżowych i użytku domowego wskazywały na żywotność tych małych warsztatów pracy, pozostających pod mniej scentralizowaną administracją państwa.

NIE WYSTAWA I NIE JARMARK

Charakter targowy Targów — oto zagadnienie, absorbujące najwięcej ich dyrekcję. Niezrozumienie różnicy między instytucją targów, a instytucją wystaw, znalazło odbicie w pokazaniu szeregu towarów wysokiej wartości, ale—niestety—nieprodukowanych jeszcze na zbyt masowy. Dotyczy to przede wszystkim przemysłu skórzanego, borykającego się nadal z brakiem surowców. Bezprzedmiotowe było też wystawianie mebli tak luksusowych, że nie mogły znaleźć reflektantów. Nie należy również nadużywać instytucji targów, będących w założeniu miejscem transakcji hurtowych, dla uprawiania handlu detalicznego. Tym właśnie m. i. różnią się Targi od jarmarków. Zjawisko to miało na Targach Jesiennych na szczęście także tylko charakter epizodyczny (stoisko Państwowego Zjednoczenia Przemysłu Cukrowniczego). Potraktowanie Targów jako jednej z wystaw... przez niezorientowany należycie przemysł i handel innych części kraju... spowodowało, że Targi Jesienne robiły wrażenie imprezy regionalnej, wielkopolskiej. Dyrekcja Targów ma więc dokonać przestawienia instytucji nie tylko na płaszczyznę międzynarodową, ale jednocześnie i przede wszystkim ogólno-polską.

Czy Targi tegoroczne spełniły swe zadanie? — Większość wystawców wyrażała zadowolenie z zawartych transakcji, które szły w miliony; wszystkim zwróciły się koszty i podkreślali sprawną organizację.

INSTYTUCJA STAŁA

Do Targów Poznańskich można by odnieść słowa znanej francuskiej formuły: „Król umarł — niech żyje Król!". Dokonano ich zamknięcia—zgodnie z planem—dnia 30-go września, po tygodniowym zaledwie trwaniu, i kazano im zapaść w letarg zimowy, bo spieszno było do nowego dzieła. Poznaniacy chcą widzieć swój gród jak najprędzej w dawnej świetności, ba!—mają ambicję uczynienia z niego półmilionowej metropolii handlowej.

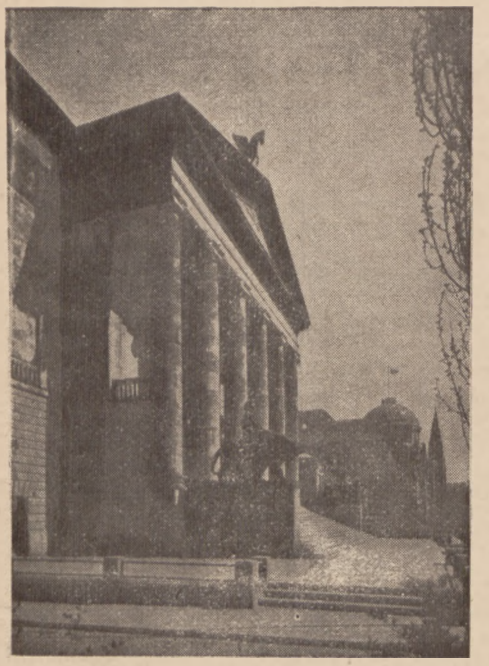
PRACA WRE NA NOWO...

1 października teren Targów nie opustoszał. Od wczesnego ranka wymijają się pojazdy: wywożą eksponaty i gruzy..., przywożą świeży budulec. W miejsce zwiedzających (których przewinęło się tędy razem przeszło 100.000) armia robotników zaludnia dawny obszar Targów, by podnieść z ruin dalsze pawilony z halą ciężkiego przemysłu na czele.

Jest chłodno, a będzie zimno. Lecą pożółkłe liście jesieni, a polecą krople dżdżu i płaty śniegu. Lecz misterium tworzenia będzie się napewno dopełniało dalej i... zobaczymy się na Międzynarodowych Targach Wiosennych!

W. Tobiasz.

Teatr Wielki w Poznaniu — siedziba reprezentacyjnej opery w Polsce





Stoisko Centralnego Zarządu Przemysłu Włókienniczego p. n. „Odzież i Dom" na Targach Poznańskich

KTO PŁACI TEN WYMAGA

Zasadnicza teza odbudowy gospodarki światowej — wzajemna pomoc w jej zrealizowaniu nie wynika bynajmniej z jakichś szczytnych ideałów. Podstawą tu jest interes — dobrze zrozumiany własny interes zwłaszcza tych krajów, które na wojnie zarobiły. Interes jest interesem i ani Stany Zjednoczone A.P. ani Kanada, ani Szwajcaria czy Szwecja nie chcą zamykać się w niedostępnej wieży dobrobytu i bogactwa, lecz wiedzą, że ta wieża szybko rozpadłaby się w gruzy, gdyby jej właściciele nie mogli wywozić produktów pracy swych krajów, i nie mieli komu ich sprzedawać. Trzeba więc pomóc obecnym lub przyszłym klientom, trzeba im dać kredyt, który i tak zwróci się w postaci wzmożonego eksportu do krajów dłużniczych.

Taką akcją w znacznej mierze była UNRRA, której cele zakrojone były początkowo dużo szerzej. Jej pomoc, choć zbyt krótka, pomogła utrzymać się przy życiu milionom przyszłych klientów przemysłu zagranicznego.

Lecz pomoc UNRRY, zdaje się nie będzie kontynuowana w tej formie. Brakowało jej, w pojęciu wielkiego kapitału międzynarodowego — big businessu — znamion odpłatności — zmuszenia pożyczkobiorcy do kupowania w kraju, przychodzącym z pomocą. Wielki kapitał przechodzi więc na drogę normalnych operacji finansowych — kredytów międzynarodowych. Tu już można stawiać warunki, oczywiście przede wszystkim korzystne dla wierzyciela, warunki nie zawsze czysto gospodarcze.

Tę prostą prawdę trzeba zrozumieć, gdy się obserwuje ruch kredytów międzynarodowych po wojnie. Wiele się z nich można nauczyć, wiele złudzeń rozproszyć.

Państwa świata dzielą się dziś pod względem gospodarczym na 2 grupy: wierzycieli i dłużników. Wierzyciele to państwa, duszące się nadmiarem bogactw, zmuszone prowadzić akcję kredytową, by znaleźć ujście i podtrzymać swoją produkcję: Stany Zjedn., Kanada, Szwecja i Szwajcaria. Dłużnikami są wszyscy inni, a przede wszystkim Wielka Brytania, która prawie zupełnie straciła swoje dominujące stanowisko na światowym rynku finansowym.

Poniższe zestawienie obrazuje pokrótce międzynarodową akcję kredytową w mil. dolarów po II-ej wojnie światowej:

Kredytodawcy	Kredytobiorcy							
	W Brytania	Francja	Holandia	Belgia	Norwegia	Inne kraje Europ.	Polska	Razem
Ogółem . . .	5.585	2.636	430	227	132	722	64	9 796
Stany Zjedn. .	4.400	1.920	300	100	50	580	40	7.390
Kanada . . .	1.125	218	112	91	12	20	—	1.578
Szwecja . . .	—	—	18	24	70	86	24	222
Szwajcaria . .	60	58	—	12	—	20	—	150
Inne kraje . .	—	440	—	—	—	16	—	456

Jeżeli z kwoty udzielonej innym krajom europejskim, poza wymienionymi oddzielnie, odejmie się sumę 400 mil. dolarów, udzielonych przez Amerykę Związkowi Radzieckiemu z tytułu operacji pożyczek — zastaw (lend-lease), a więc odnoszących się jeszcze do kredytów wojennych, to uderzyć nas musi wybitne uprzywilejowanie W. Brytanii i państw zachodnio-europejskich (9010: 306 + 400 lend lease Zw. Radz.), mimo, iż są to kraje, których skala zniszczeń jest stosunkowo nieduża w porównaniu z nami i innymi krajami europejskimi.

Widać z tego zestawienia, że w ślad za akcją polityczną, a właściwie przed nią, idzie robota gospodarcza, przygotowująca trwalszy grunt pod budowę wszelkich bloków, niż rozmowy ministrów. Ideę bloku zachodniego w gospodarce realizuje się konsekwentniej niż na polu politycznym. Gospodarczo biorąc — właściwie blok już jest, a kto będzie jego kierownikiem wystarczy także spojrzeć tylko na tablicę!

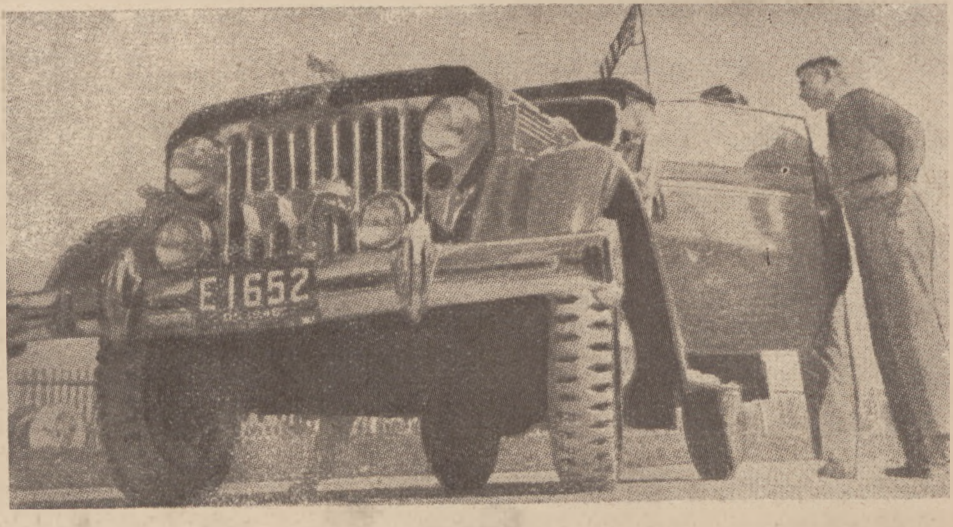
Kto płaci, ten wymaga... **S.S.**

WILLYS W CYWILU

Współpraca amerykańsko-niemiecka

Słynny „WILLYS", który towarzyszył w tej wojnie wszystkim armiom sprzymierzonym, doczekał się nowej szaty z rąk niemieckich. Na zdjęciu „WILLYS" zaopatrzony w nowiutką karoserię, przerobioną z Opla.

(Zdjęcia: The Stars and Stripes)



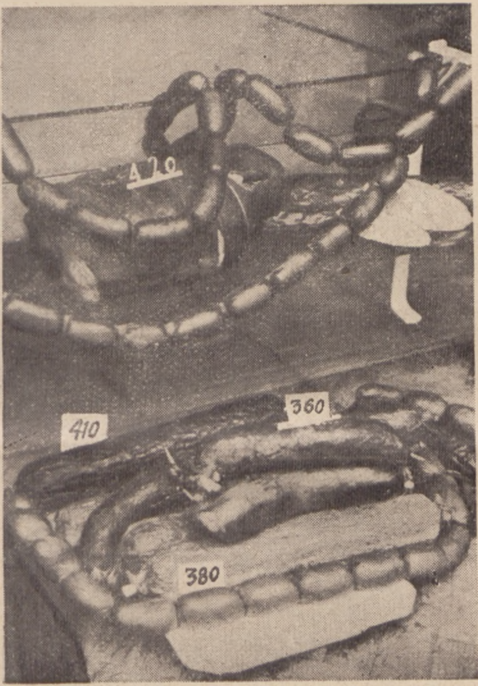


Co powoduje zwyżkę cen, jaką odczuwamy na początku tegorocznej jesieni? Jakie są środki zaradcze, które mogłyby zahamować to niepożądane dla mas pracujących zjawisko?

Należy pamiętać, że zawsze na początku jesieni odczuwa się zwyżkę cen. Rolnicy wykańczają roboty jesienne i nie śpieszą się z dostawą do miast. Sami w tym okresie dużo spożywają nabiału i tłuszczów.

Równocześnie miasto czyni zakupy zimowe. Wzrasta popyt — zmniejsza się dostawa. Nic dziwnego, że ceny na żywność zwyżkują.

Ale oprócz tych czynników, które corocznie działają na jesieni, pracują obecnie i inne. Mówi się o spekulacji. Niezawodnie spekulanci wykorzystują każdą okazję, aby podbić ceny. Jednak, gdyby artykułów pierwszej potrzeby było pod dostatkiem na rynku, i spekulanci nie wiele mieliby do roboty.



Wzrok przechodnia przyciągają smaczne wędliny i odstraszają wysokie ceny (fot. J. Płażewski)

Jeśli chodzi o tłuszcze — masło i słoninę — nie ma ich w Polsce w nadmiarze. Uciekają przy tym, mimo ostrej kontroli granicznej, do Czechosłowacji, a głównie do Niemiec. W obu tych krajach płacą za tłuszcze sumy, które zachęcają przemytników do kontrabandy. Niełatwa jest walka z przemytnikami, gdy odkryją oni źródło wielkich zarobków. Trzeba ją jednak zaostrzyć.

Oto najogólniejsze przyczyny zwyżki cen żywności. Dlaczego jednak rosną w cenę i artykuły przemysłowe?

Niezawodnie masowe jesienne i zimowe zakupy ubrań, bielizny, bucików, opału itp. rzeczy wpływają na zwyżkę cen. Jednak, gdyby tych artykułów było wbród, nie ośmieliliby się kupcy, zawaleni towarami, żądać wyższych cen. Niestety artykułów przemysłowych nie mamy na rynku pod dostatkiem. Choć nasze fabryki włókiennicze wykorzystują wszystkie swoje możliwości techniczne i produkują stosunkowo dużo, część materiałów musimy oddać zagranicy, która dostarcza nam wełny i bawełny. Nawet UNRRA zażądała od nas pewnego procentu gotowych wyrobów w zamian za dostarczone surowce włókiennicze.

Dużą rolę w regulowaniu cen na rynku polskim odgrywały do tej pory dostawy UNRRA. Gdy wszyscy posiadacze kartek I kategorii dostawali za minimalne sumy kupony na ubrania, buciki, wyroby trykotowe i bieliźniane, zmniejszał się popyt na wyroby krajowe, a kupiec musiał liczyć się z mniejszym zapotrzebowaniem na artykuły przemysłowe. Dziś, niestety, dostawy UNRRA minimalną rolę odgrywają na rynku polskim, toteż wzrósł popyt na towary krajowe.

Jak już pisaliśmy, nie mamy ich w nadmiarze a przytym nie zawsze rzucane one są przez przemysł na rynek w odpowiedniej porze. Często towary potrzebne w lecie pojawiają się na jesieni i w zimie, lub odwrotnie. Skarżą się na to spółdzielnie i „Społem", które prowadzą akcję zaopatrywania wsi w towary przemysłowe.

To chaotyczne nasilenie rynku towarami dotyczy nie tylko materiałów ubraniowych, ale również maszyn i narzędzi, które są potrzebne rolnikowi w odpowiedniej porze roku. Nie kupi on kosy lub nawozów sztucznych w zimie, nie zainteresuje się cieplymi materiałami zimowymi w lecie. Towary te będą leżały w składach „Społem" i w spółdzielniach miesiącami, narażając spółdzielnię na duże straty.

Sprawa nasilenia rynku towarami w odpowiedniej porze roku jest niezmiernie ważnym zagadnieniem. Pamiętajmy, że rolnik wtedy tylko dostarczy pod dostatkiem miastom żywności, kiedy natychmiast po jej sprzedaży będzie mógł nabyć potrzebne i odpowiednie do pory roku towary przemysłowe. Jeśli w spółdzielniach i sklepach prywatnych nie znajdzie tych artykułów, nie będzie miał pobudki do wyzbycia się swych produktów. Pobudka ciułania pieniędzy nie odgrywa dziś u chłopa wielkiej roli.

Dlaczego zwracamy uwagę na te zagadnienia? Łączą się one ściśle z akcją uporządkowania naszego rynku i w dużej mierze decydują o cenach. Gdy się przymknie jednego lub drugiego spekulanta, będzie to wprawdzie satysfakcja dla biedego cenami świata pracy, ale tylko moralna. Nie da ona światu pracy niższych cen, a to jest przecież najważniejsze zagadnienie dla mas pracujących.

Tylko dostateczna ilość towarów na rynku i to w odpowiedniej porze roku oraz umiejętne pobudzanie wsi przynętą towarową do zaofiarowania miastu swych produktów — są właściwymi czynnikami walki ze spekulacją. Niech przemysły kluczowe zaopatrzą „Społem" i spółdzielnie w potrzebną ilość towarów pożądaną przez świat pracy w mieście i na wsi, a duży krok zrobimy w walce ze spekulacją i zwyżką cen. Całe społeczeństwo odczuje wtedy dobrodziejstwo takiego posunięcia.

Niemniej jednak należy tępić wszelkie objawy spekulacji na artykuły pierwszej potrzeby, toteż wskazane jest zwiększenie czujności przez Komisję Specjalną. **Z.K.**

Skóra droga, drewniaki cieszą się wielkim powodzeniem.



Od Administracji

Zawiadamiamy naszych Czytelników, że mimo podniesienia ceny „Tygodnia", cena pojedyńczego numeru w prenumeracie wynosi nadal zł. 7,50.



Roczna pensja pracownicza nie wystarcza na uszycie kosztownej pelissy lub płaszcza

O SPÓŁDZIELCZOŚCI POLSKIEJ
na międzynarodowym Kongresie Spółdzielczym w Zurychu

Dnia 10 października 1946 r. zakończył się pierwszy po wojnie Kongres Międzynarodowego Związku Spółdzielczego, który zrzesza organizacje spółdzielcze całego świata wraz z ich 100 milionami członków. W Kongresie wzięło udział 360 delegatów 35 krajów. Kongres poruszył nietylko wszystkie najaktualniejsze sprawy ruchu spółdzielczego, jak przede wszystkim stosunek państwa do spółdzielczości, ale musiał ustosunkować się do zagadnień ogólno-politycznych. Tak więc uchwalono jednogłośnie rezolucję w obronie pokoju i rezolucję potępiającą rządy faszystowskie w Hiszpanii, które całkowicie uniemożliwiły swobodny rozwój spółdzielczości. Rezolucję hiszpańską uchwalono wśród entuzjastycznych oklasków. Jeszcze ostrzejszą rezolucję przeciw rządom generała Franco uchwaliła Międzynarodowa Liga Kooperatystek wszystkimi głosami przeciw głosom delegatek angielskich, przy czym Szkotki głosowały za rezolucją. Delegacja polska interweniowała wielokrotnie tak w obradach Komisji, np. wysuwając z powodzeniem projekt zorganizowania Międzynarodowego Banku Gospodarstwa Spółdzielczego, jak i w obradach plenarnych. Przedstawiciele spółdzielczości polskiej podnieśli inicjatywę Międzynarodowej Hurtowni Spółdzielczej i zilustrowali zebranym zupełnie nowe koncepcje roli spółdzielczości w demokratycznych ustrojach gospodarczych. Szczegółowe sprawozdanie z bardzo ciekawych obrad Kongresu Międzynarodowego Związku Spółdzielczego podamy w następnym numerze po powrocie delegacji polskiej z Zurychu.

NOWY ZARZĄD ŁÓDZKIEGO ODDZIAŁU ZWIĄZKU ZAW. LITERATÓW POLSKICH

W dniu 6 października 1946 r. odbyły się w Oddziale Łódzkim Związku Zawodowego Literatów Polskich wybory na których do Zarządu Oddziału wybrani zostali następujący pisarze:

1. Jan Brzechwa — prezes
2. Juliusz Żuławski — wiceprezes
3. Seweryn Pollak — sekretarz
4. Kazimierz Brandys — skarbnik
5. Stanisław Dygat — członek Zarządu
6. Stan Ryszard Dobrowolski — czł. Zarz.
7. Ryszard Matuszewski — czł. Zarz.

KOTLETY Z ĆWIKŁĄ

Swego czasu pewien człowiek, który nie lubił mi patrzeć prosto w oczy, lecz używał do tego celu spojrzeń cudzych, rzekł do pewnej damy, która wyręczała go zazwyczaj w patrzeniu: — „Przyzna pani, iż nigdy nie poruszałem tematów związanych z jedzeniem".

Była to aluzja do mych felietoników, w których nie ukrywałem, że usta nasze służą nie tylko do kąsania bliźnich, lecz także do przetwarzania ciał stałych w płyn płynne. Felietoniki moje nosiły tytuły:— Nie pchać się, chleb będzie!, Oddajcie kanapę! 1 kg grysiku itp. Powstały one prawie w huku dział, kiedy wołowina była droga, o grysik było trudno, ludzie kradli sąsiadom nieraz własne meble, zaś murarze z Krowodrzy musieli chodzić po bimber i głowiznę, aż het pod Wieliczkę. Według owego człowieka rzeczywistość podlegała podziałom. Nie wszystko, co tkwiło w rzeczywistości, nadawało się do przelania na papier.

Ale są tematy napięte na tak zwany wysoki diapazon i tu zdejmijmy swe kapelusze! Kiedyś na pewnym przedstawieniu, które padło, zetknąłem się z niewolnikiem owego górnego diapazonu. Niewolnik ów w momencie jak najbardziej niestosownym do jedzenia miał twarz wypchaną strawą i w czasie niezmiernie subtelnej kwestii nabierał z torby garść jakiejś substancji, aby zapchać sobie nos, oczy i usta. Sztuka bowiem haniebnie padała, aktorzy napróżno starali się ją podtrzymać krzykami i gestykulacją, podobnie jak to czynią niektórzy przechodnie z dogorywającą szkapą, i widownia pod wpływem współczucia powiększała swe ciśnienie w sposób przykry dla zmysłu powonienia.

Kiedy nazajutrz w barze ujrzałem twarz tego wykwintnisia, bladą jak ser i kawałeczek nosa, zielony jak sama kwinta, do łez się rozczuliłem. Wystarczyło bowiem utwór przemianować na „Sztukamięs", naszpikować go gęsto cytatami z książek kucharskich, cały farsz zastąpić pulchną, świeżą treścią, premierę przełożyć na dzień bezmięsny a sztuka stałaby jak mur.

Niestety mądry Polak po szkodzie. Autor oderwanej sztuki wolał stracić w barze, niż zyskać na widowni. Pożałował jeszcze bardziej tracąc później na sławie, zdrowiu i przytomności.

No dobrze, zgadzam się, że świat nie jest romansem i że nie rozwija się podług naszych życzeń, ale pozwólmy!.. Był czas kiedy artyści starali się różnić od reszty społeczeństwa. Nosili wtedy peleryny, nie strzygli włosów, nie czesali bród, pobyt na ziemi uważali za zło konieczne, wtedy także wmawiali w siebie wiele nadnaturalnych własności a skromną właściwość zjadania chleba przez resztę społeczeństwa uważali za jedyny powód usprawiedliwiający tę resztę wobec ogromu dziejów.

Wtedy w modzie były: absynt: sznurowane gorsety, wiara w Adama i Ewę, wtedy duszę poety wyobrażano sobie najchętniej pod postacią dziewczęcia ze skrzydłami, które miało spuszczone oczy. Ten anioł o podbitych oczach mógł trzymać w rączce wiązankę polnych lilii, także równiankę „kamelii, Ofelii, fioletowych puchów wionących za wiatrów podmuchem", tuberoz, nieśmiertelników, mięty, ba, w ostateczności nawet pokrzyw, — w żadnym wypadku nie mógł trzymać talerza z pieczenią rzymską, kobiałki z nabiałem, czy puszki z mydłem.

A przecież wojna okrutnie podeptała świat tych złudzeń. Od czasów, kiedy wizja bochenka chleba nawiedzała potężną część Europy najwyżej w gorączkowych snach, widmo rumianego anioła obarczonego np. koszem jaj nie powinno budzić zastrzeżeń jak w czasach amerykańskiej prohibicji nie budziło prawdopodobnie popryszczone widmo bootleggera obarczonego baryłką... grogu.

A jednak budzi! — i nie wszystko, czym rozporządza rzeczywistość, wydaje się nam godne atramentu. Kiedyś znowu zetknąłem się z niewolnikiem owego górnego diapazonu. Niewolnik siedział odwrocony tyłem do życia i „rąbał" z zapałem potężny kotlet z ćwikłą. Uch, ach, och, ech, uff — stękał przewracając oczy z takim zachwytem, jakby przerąbywał jeden z najbardziej niepokojących i najbardziej nierozwiązalnych problemów. Cały układ jego ciała, cała jego twarz, ręce z ufnością wspomagające go w tym namiętnym dziele świadczyły, iż zwolennik najwyższych wartości przetwarzał temat — mówiąc językiem Leona Schillera „ogromny".

Widziałem później jak patrzał w oczy tej, której wdzięki opiewał w tylu natchnionych strofach.

Biedna muza jego natchnień... Lepiej zrobiłaby, gdyby na miejscu swych sztucznych rumieńców powiesiła dobrze wypieczone kotlety z ćwikłą.

Zygmunt Fijas



W dniu 4 b.m. Sir John Falconer w imie niu miasta Edynburga wręczył gen. Eisenhowerowi dyplom honorowego obywatela miasta. Po bokach gwardziści szkoccy

NIEWOLA KTÓRA WZBOGACA



Jeńcy niemieccy wracają z niewoli amerykańskiej z bogatymi łupami

PO WYROKU NORYMBERSKIM



Po wyroku norymberskim zrzedły miny niektórym oprawcom hitlerowskim. Zdjęcie lewe przedstawia wrażenie, jakie wywołał wyrok na twarzach: Fricka, Streichera i Funka (kolejno od lewej). Na zdjęciu prawym widzimy karykaturę angielską, na której Schacht mówi do Papena, po odzyskaniu wolności. „Teraz stworzymy partię demokratyczną w Niemczech".



MARSZAŁEK SMUTS I WINSTON CHURCHILL

Marszałek Smuts, premier Unii Południowo-Afrykańskiej wygłosił przed połączonymi izbami parlamentu holenderskiego długą mowę, w której rozważał środki i sposoby odbudowy powojennej Europy i utrwalenia pokoju.

Sędziwy marszałek powoływał się kilkakrotnie na Churchilla i na jego koncepcje uchronienia Europy od nowej wojny, wyłożone w jego mowie w Zurichu. Według tych koncepcji, przyszły pokój zależny jest od porozumienia się Niemiec z Francją i od kierownictwa sprawami Europy przez ten duet. Drugim środkiem miało by być utworzenie Stanów Zjednoczonych Europy.

Smuts nie ogranicza się do tych dwóch koncepcji, ale wysuwa jeszcze inne. Pierwsza, to porozumienie gospodarcze państw europejskich dla wyprostowania dróg porozumieniu politycznemu. Druga, to porozumienie małych państw na zasadach regionalnych.

Wszystkie te koncepcje wymagają obszerniejszego omówienia. A tymczasem rzućmy pewne światło na sylwetkę marszałka Smutsa.

Gdy wybuchła wojna boerska w południowej Afryce, która wywołała falę oburzenia na Anglię, oczy świata skierowały się na ten punkt globu ziemskiego, gdzie naród pochodzenia holenderskiego przeciwstawił się całej potędze brytyjskiej. Źródłem oburzenia był przede wszystkim Berlin. Niemcy obawiali się bliskiego sąsiedztwa potęgi brytyjskiej dla swych kolonii w południowo-zachodniej i we wschodniej Afryce.

Smuts był wówczas generałem, takim samym, jak wielu innych generałów boerskich, którzy porzucili swoje fermy i stanęli na czele oddziałów zbrojnych. Winston Churchill był wówczas młodzieńcem, który bawił się w dziennikarstwo i był korespondentem wojennym. I w tym charakterze dostał się do niewoli Smutsa. Nie wiadomo było, co z nim zrobić. Był korespondentem wojennym, ale jednocześnie dowodził angielskim pociągiem pancernym, gdy jego dowódca został w walce zabity. Churchill sam rozstrzygnął wątpliwości, uciekając z niewoli.

Mimo bohaterskiej obrony Anglia zdobyła Transvaal i Oranię, gdyż potrzebowała tego kraju dla założenia w południowej Afryce potężnej bazy, kontrolującej morza południowe i drogę na Daleki Wschód. Z czasem południowa Afryka stała się samodzielnym dominium brytyjskim, a powiększona o kolonie poniemieckie stała się wielką Unią Południowo-Afrykańską. Smuts zaś, roztropniejszy od innych wodzów boerskich, jest tej Unii premierem, brytyjskim marszałkiem i przyjacielem Churchilla, swego ongiś jeńca, a w czasie ostatniej wojny był najpoważniejszym doradcą brytyjskiego gabinetu wojennego.

BAWARIA WALCZY O SAMODZIELNOŚĆ

Wydawać się może komuś dziwne, że Bawaria, która stała się kolebką ruchu narodowo-socjalistycznego, która przeżywała pierwszy zamach stanu Hitlera, a później gościła corocznie w murach Norymbergi kongresy partii — że ta Bawaria walczy w tej chwili o swą samodzielność, jaką posiadała jeszcze za czasów cesarskich i za czasów republiki weimarskiej. Gdyż dopiero Hitler, tworząc Trzecią Rzeszę, zniósł samodzielność poszczególnych krajów niemieckich, mianując jednak dla większych osobnych namiestników. Bawaria posiadała takiego namiestnika w osobie generała von Eppa, znawcy zagadnień kolonialnych.

Sprawa samodzielności Bawarii była już przedmiotem obrad bawarskiej Rady Konstytucyjnej. Za samodzielnością padło 84 głosy, przeciw 85. Taki wynik zmusił rząd do poddania sprawy pod głosowanie powszechne, a tymczasem zwolennicy samodzielności zyskali nowego sprzymierzeńca w młodej partii ludowej, stojącej na gruncie oderwania Bawarii od Rzeszy. Partia żąda m. in. obsadzania wszystkich stanowisk tylko przez Bawarczyków, wysiedlenia wszystkich innych Niemców z wyjątkiem wysiedlonych Niemców zagranicznych i zupełnej samodzielności gospodarczej.

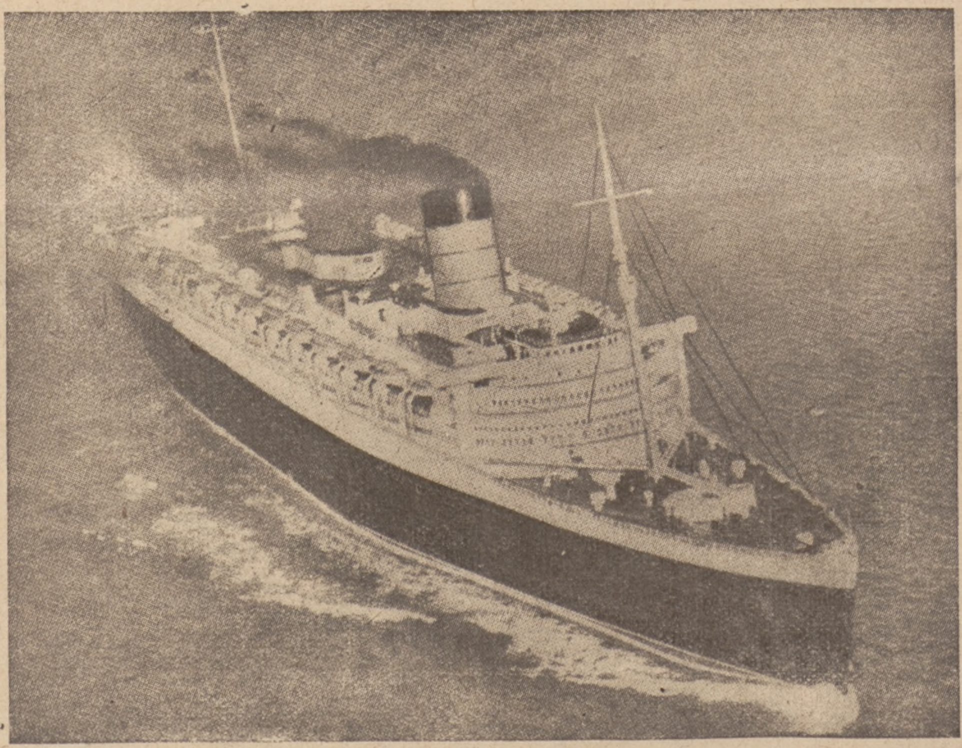
Jest to wprawdzie program bardzo radykalny, ale może się Bawarczykom spodobać, gdyż głosi hasło: Bawaria dla Bawarczyków. W tych warunkach głosowanie ludowe może wypaść na korzyść separatystów.



Gra w szachy wymaga wielkiego skupienia i uwagi. Na zdjęciu dwaj szachiści radzieccy: Lisicyn (z lewej) i Tajmanow (z prawej) rozgrywają partię o mistrzostwo Z.S.R.R. w Leningradzie.



Min. Spraw Zagr. USRR. Manuilski przemawiający w obronie praw Jugosławii do Triestu



Okręt angielski „Queen Elizabeth", na którym delegacja radziecka wyjechała do Stanów Zjednoczonych na ogólne Zgromadzenie Organizacji Narodów Zjednoczonych, które rozpocznie swe obrady 23 b. m.

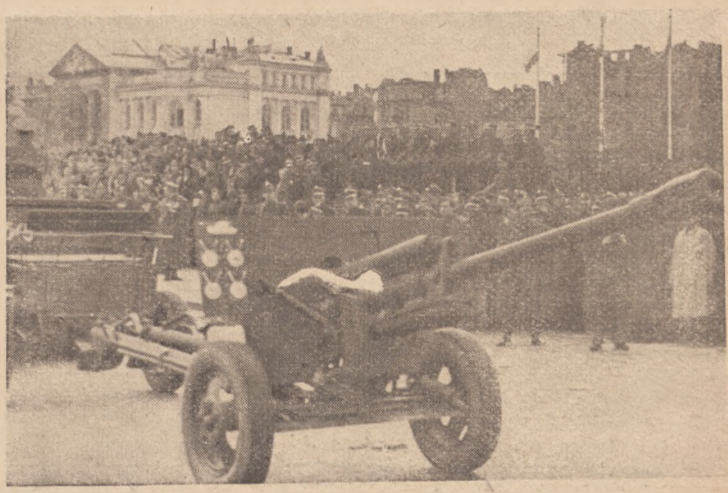
3-CIA ROCZNICA BITWY POD LENINO



Czołg - weteran, który przebył zwycięski szlak od Lenino do Berlina (S.A.P.)



Msza polowa na placu Zwycięstwa w Warszawie w trzecią rocznicę bitwy pod Lenino.



Defilada przed marszałkiem Rola - Żymierskim na placu Zwycięstwa (S.A.P.)

UROCZYSTOŚCI HARCERSKIE



„Szare szeregi" harcerskie odznaczyły się w walce z okupantem niemieckim zyskując swoimi wyczynami podziw społeczeństwa polskiego. Na zdjęciu: Zlot harcerzy uczestników walk o niepodległość. (S.A.P.)



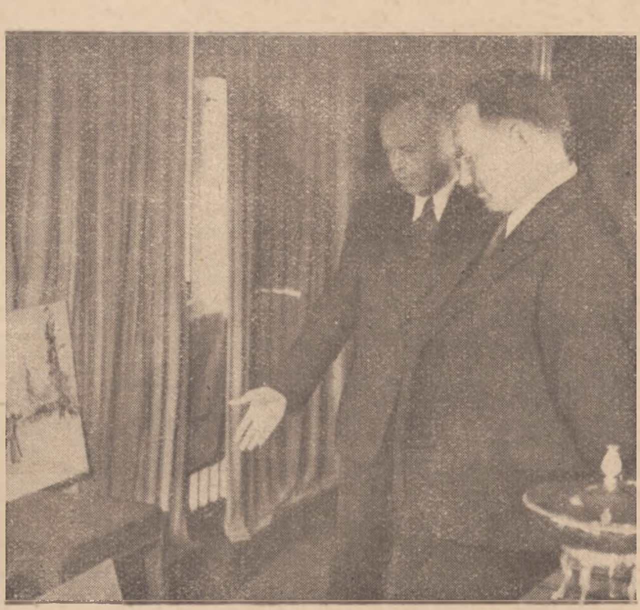
Harcerze rozpoczęli nowy „rok harcerski" defiladą na ulicach Warszawy witani owacyjnie przez ludność. (S.A.P.)

W dniu 13 bm. odbyły się zawody motocyklowe, na torze żużlowym w Warszawie, na które przybyła ekipa „zmtoryzowanych górali"t z Zakopanego. Na zdjęciu prawym najmłodszy motocyklista polski wpisuje się do księgi pamiątkowej. (S. A. P.)





UDAREMNIONY PRZEMYT DZIEŁ SZTUKI



Na zdjęciu widzimy prezydenta Bieruta, gdy ogląda cenne zbiory obrazów, należące kiedyś do rodziny Potockich, a stanowiące obecnie własność narodu. Cenne te zabytki zamierzał Andrzej Potocki wywieźć podstępnie za granicę.

WOJSKO DLA WSI



Jednostki wojskowe, stacjonujące w Łodzi, mając nadmiar koni powzięły piękny zamiar rozdania ich najbardziej zasłużonym żołnierzom-rolnikom. Po odbiór koni zgłosiły się rodziny szczęśliwych wybrańców. Na zdjęciu: żołnierz wraz z matką odprowadzają otrzymanego w podarunku konia.

WIADOMOŚCI SPORTOWE

SPORT POLSKI OCZEKIWAŁ „NAJAZDU" WĘGRÓW w ubiegłym tygodniu. Na ringu w Katowicach miał się odbyć międzymiastowy mecz bokserski Polska—Węgry, a w Łodzi i Krakowie gościć mieli piłkarze drużyny Kispest. Niestety nie przyjechali na czas ani bokserzy ,ani też piłkarze. Musiano łatać dziury i program soboty i minionej niedzieli zastąpić własnymi siłami.

MECZ PIŁKARSKI O MISTRZOSTWO POLSKI między Wartą z Poznania a ŁKS zakończył się zwycięstwem ŁKS 4:3. Warta miała przez cały czas meczu wyraźną przewagę, a łodzianie mieli więcej szczęścia i mimo tego, że grali w drugiej połowie od 15 minuty w dziesiątkę potrafili wygrać, zdobywając tym samym dwa pierwsze a bardzo cenne punkty w tabeli rozgrywek. Sytuacja w tabelce przedstawia się obecnie następująco: Na pierwszym miejscu kroczy AKS, który ma tak samo zresztą jak Polonia i ŁKS po dwa zdobyte punkty, ale lepszy stosunek bramek. AKS rozegrał tylko jeden mecz, wówczas gdy ŁKS i Warta mają po dwa mecze rozegrane i po dwa punkty stracone. W najbliższą niedzielę Warta spotka się w Poznaniu z Polonią. Pauzować będzie AKS i ŁKS. Rozgrywki o mistrzostwo Polski wkraczać zaczynają w okres nadzwyczaj ciekawej rywalizacji.

PŁYWACY w sezonie sportów letnich nie dawali większego znaku życia o sobie, a gdy sport w Polsce zaczął wkraczać w sezon sportów zimowych i jesiennych obudzili się z letargu organizując mecz międzymiastowy Warszawa—Łódź. Spotkanie zakończyło się zwycięstwem Warszawy 75:74 pkt. O zwycięstwie Warszawy zadecydował przegrany w sromotny sposób przez łodzian mecz piłki wodnej w stosunku 0:12, co jest rzeczywiście swego rodzaju rekordem. W basenie YMCA padło jednak szereg rekordów okręgowych Łodzi. Wróży to, że w najbliższą niedzielę 20 bm. w meczu ze Śląskiem Łódź uzyska zwycięstwo.

LEKKOATLECI mieli jesienny bieg na przełaj zorganizowany przez „Dziennik Łódzki" o nagrody wojew. Dąb-Kocioła i prezydenta Mijala. Indywidualnie zwyciężył młody biegacz — reprezentant Polski Dzwonkowski ze Zrywu. Drugie miejsce zajął weteran lekkiej atletyki polskiej Kurpesse z ŁKS. Zespołowo zwyciężyli zawodnicy Zrywu zdobywając szereg cennych nagród. Dziesięciobój i pięciobój pań o mistrzostwo Polski przeprowadzony w Łodzi został unieważniony. Powtórzenie tych konkurencji nastąpi 27 bm. we Wrocławiu na reprezentacyjnym stadionie, który pomieścić może około 60 tysięcy widzów.

Przed rozpoczęciem meczu piłkarskiego: Cracovia i Z. Z. K. (Łódź), który zakończył się zwycięstwem Cracovii w stosunku 4:2. Na lewo drużyna Cracovii, na prawo Z. Z. K.



URYWKI Z „HISTORII POLSKI"

(Ciąg dalszy)

JĘDRZEJEWICZ

„Jeszcze się taki nie narodził, coby wszystkim dogodził" — powiada przysłowie. Ale oto narodził się taki, który nikomu nie dogodził. Nazywał się Janusz Jędrzejewicz.

Jedrzejewicz, premier od dn. 10 maja 1933 r. Ujawnia on aktywność nadzwyczajna, jego reformy, dotyczace wszystkich dziedzin życia, sa niestety, reformami ideologicznymi, dokonywanymi w imię ideologii, doktryny, a nie doraźnego interesu państwowego. Ale cóż to za ideologia — pożal się Boże! Kompromituje ona obóz, Piłsudskiego, wszystkich. Jedrzejewicz jest typowym półinteligentem ideologia jego to cygańska kołdra, zszyta z kawałków nie pasujacych do siebie ani kolorem, ani materiałem.

Weźmy kilka przykładów na chybił trafił. Mamy wielki wybór, bo oto jak powiedziałem, Jedrzejewicz jest aktywny nadzwyczajnie, podobny do gościa, który, zajechawszy do starego domu, w ciagu jednej nocy poprzestawiał meble od sieni do strychu, skrzynie ze starymi butelkami zniósł do salonu, fortepian wyniósł do kurnika, sedes klozetowy ustawił w sali jadalnej, łóżeczka dziecinne wyciagnął na mróz, meblami salonowymi zatarasował korytarze i chciał przestawiać dalej.

Jedrzejewicz szereguje urzędników w ten sposób, że odbiera nauczycielkom i nauczycielom ich grosze, zarabiane w bardzo ciężkiej pracy, dosłownie pcha ich w objęcia nędzy, obniża pensje wszystkim mniejszym urzędnikom, a podwyższa wyższym. Ministrowie pobierali u nas mniej niż 2000 zł. miesięcznie, Jędrzejewicz, obniżając pensję szarego urzędnika, podwyższa ministrom aż do 5000 zł.

Jędrzejewicz łamie, druzgoce autonomię uniwersytecką. Po co, na co, dlaczego? Chodzi mu o większe wpływy ministerstwa i o protegowanie rządowych organizacyj wśród młodzieży. Jędrzejewicz oświadcza rektorom uniwersytetów i wyższych uczelni, że nie będzie używał swej reformy do celów politycznych, i natychmiast po tym oświadczeniu pozbawia katedr szereg uczonych o niewątpliwych kwalifikacjach naukowych, ponieważ są przeciwnikami regim'u. „Nauka polska wyjdzie z tego z połamanymi kościami" — powiada prof. Estreicher.

Jedrzejewicz wypędza Sienkiewicza ze szkół.

Jedrzejewicz tworzy także Akademię Literatury. System akademizowania, hierarchizowania literatów, jest systemem arystokratycznym. Akademia Francuska, założona przez kardynała Richelieu za Ludwika XIII, jest pod wielu wzgledami tym samym co Izba Lordów w Anglii, nawet można powiedzieć, że jest poniekad od Izby Lordów bardziej arystokratyczna. Akademia Francuska nie składa się zreszta z samych literatów, przeciwnie — kolekcjonuje ona sławę wogóle, płaci wielkiemu pisarzowi snobizmem wielkiej ceny, stawia go narówni ze zwycięskim wodzem, wprowadza go towarzysko w świat arystokracji rodowej. Bo to nie z przypadku tak się dzieje, że pod pozorem autorstwa jakichś dzieł, w Akademii Francuskiej zasiada zawsze kilku przedstawicieli arystokracji. Chodzi tu o reprezentację ciągłości kultury francuskiej, chodzi o stworzenie salonu o atmosferze całkiem specjalnej. Oto jest pani, która odkryła rad, a oto jest pan, który jest właścicielem autentycznych zamków średniowiecza, którego nazwisko figuruje na licznych kartach historii Francji. Akademia Francuska, to salon, który gromadzi sławę, talent, zwycięstwo, urodzenie, naukę, w pogoni za arystokratycznym złudzeniem, że zebranie ludzi, o których najwięcej się mówi, w jednym miejscu, da jakieś nadzwyczajne wyniki. Wszystko to wywyższa pisarza, podnosi go wysoko w hierarchii towarzyskiej, społecznej. Akademia Francuska, jak zresztą każda tego typu instytucja, jest instytucją kulturalnego snobizmu, lub jeszcze lepiej — snobizmu kultury: chodzi tu o zewnętrzne pozłocenie, zewnętrzne uhonorowanie talentu. Zawiążcie Dostojewskiemu szarfę jedwabną na brzuchu czy na ramieniu — niewiele na tym zyska; usadźcie Słowackiego na złotym trójnogu — nie przysporzy to mu poezji ani modnej melodii; ale tak się dziwnie dzieje, że i Dostojewski i Słowacki mieli głód honorowych odznaczeń, wyróżnień. Może akademie są potrzebne, ale trzeba rozumieć czym są — są instytucjami par excellence arystokratycznymi, i to nawet w wulgarnym, ordynarnym tego słowa znaczeniu.

Cechą Akademii Francuskiej jest nie tylko arystokratyzm, ale i liberalizm wyboru. Foch czy Joffre, wodzowie wojskowi, zasiadają tu obok pisarzy pacyfistycznych. Akademia Francuska powoływała ludzi, którzy z niej kpili, jak Flers; powoływała wrogów ustroju francuskiego, jak Maurras. Chciałbym widzieć kogoś we Francji, ktoby powiedział, że wybór jakiegoś pisarza jest niemożliwy, bo jest on przeciwnikiem istniejącego gabinetu ministrów.

Jedrzejewicz z tego wszystkiego nie zdawał sobie sprawy. Tworzył swoją akademię jako instytucję... BBWR. Nie rozumiał także, że bez stosowania szerokiego liberalizmu nie można nawet przystepować do idei akademii — przeciwnie, chciał z niej mieć narzedzie polityczne. Toteż powołał do niej kilka zaledwie prawdziwych talentów literackich i stworzył akademię, która nawet nie miała ambicyj akademii na serio. W Akademii Francuskiej Foch czy Joffre byli członkami zwyczajnymi, tytuł członka tej akademii był oczywiście dla nich zaszczytem; nasza akademia uzyskała później dla siebie jako wysoki zaszczyt... protektorat... marszałka Śmigłego-Rydza.

Jedrzejewicz był to typowy półinteligent, człowiek, dla którego pokój wiedzy nie jest oświetlony, który łazi po nim pociemku i tłucze sobie kolana, a więc przestawia, usuwa, kręci meblami również pociemku, więc bez sensu. Taki człowiek przebudowywał nasz system szkolny. Była to klęska kultury polskiej. Jędrzejewicz nie rozumiał, że okres gimnazjalny ma takie znaczenie dla mózgu ludzkiego, jak ugniatanie ciasta przed pieczeniem dla chleba, bułek lub klusek. Chodzi o to, by mózg ludzi nauczył się myśleć w sposób prawidłowy. Łacina w tym okresie nie tylko rozwija w nas pamięć, lecz daje nam poczucie harmonii, wnosi nam w duszę jakieś rysy i ramy wspaniałej harmonii antycznej. Matematyka zmusza do gimnastyki włókna mózgowe. Gimnazjum powinno dać metodę myślenia, umiejętność znajdowania syntezy, ale też przekonanie, że dyletantyzm, fragmentaryczność, frazes jest rzecza głupią i wstrętną, że aby o czymś mówić, trzeba daną rzecz poznać, zgłębić, że solidność powinna być cechą każdej pracy. Oczywiście, reforma Jędrzejewicza była zaprzeczeniem tego wszystkiego. Porwał on wiedzę gimnazjalną w strzępy, poodrywał oprawki i okładki z ksiażek, porozrywał stronice, sprawił, że do głowy ucznia pakowano wszelki groch z kapustą, bez ładu i składu. Uczono mnóstwa rzeczy i uczono tego, że niczego uczyć się nie trzeba dobrze. W każdej rzeczy, której dotykał Jędrzejewicz, znać było jakiś ponury niepokój myśli, jakieś dążenie nieokreślone dokądś, za czymś, gdziekolwiek. Jego poczucie metody chorowało ustawicznie na obstrukcję żołądka.

Gdy Jędrzejewicz ustępował z premierostwa, nie żałował tego nikt — nawet on sam.

St. Mackiewicz

NOWY SEZON TEATRÓW ŁÓDZKICH

Teatr Wojska Polskiego i Teatr Powszechny TUR pod dyrekcją Leona Schillera zapowiadają bogaty repertuar w nowym sezonie przy zmobilizowaniu licznego grona dobrych aktorek i aktorów. Zobaczymy więc takie sztuki, jak: „Horsztyńskiego" Słowackiego, „Fircyka w zalotach" Zabłockiego, „Śluby panieńskie" i „Męża i żonę" Fredry, „Cud mniemany czyli Krakowiaków i Górali" Bogusławskiego, „Powrót posła" Niemcewicza, „Pana Damazego" Bilzińskiego, „Ożenek" Gogola, „Oświadczyny" Czechowa, „Otello" i „Burzę" Szekspira, „Białą diablicę" Webstera, „Celestynę" Rojasa, „Szczęście Frania" Perzyńskiego, „Profesję pani Warren" i „Cezara i Kleopatrę" Shawa, operetkę „Córka pani Angot" Lecoqua, „Sąd w Belghem" Gorczyckiej, „Powrót do domu" Ostrawy oraz „Stary dworek" Ważyka i „Wielkanoc" Otwinowskiego. Dwie ostatnio wymienione sztuki, wystawione na otwarcie sezonu, spotkały się z dużym zastrzeżeniem krytyki i publiczności. Z bogatego repertuaru zapowiadanego przez dyrekcję wnioskować należy, że zobaczymy wiele dobrych sztuk, które zatrą wrażenie niefortunnego startu.

T. zw. sprawa „upowszechnienia teatru", o której stale się mówi i pisze, znalazła zrozumienie w łódzkiej dyrekcji teatrów. Godne pochwały jest stworzenie „Wędrownego Teatru", który będzie teatrem objazdowym oraz „Trybuny słowa ludowego" przeznaczonej dla ośrodków robotniczych a mającej zapoznać je z cennymi utworami poetów i prozaików polskich i obcych. Niestety sprawa „upowszechnienia teatru" nie znajduje należytego zrozumienia w Zarządzie Miejskim, który postanowił obłożyć teatry łódzkie podatkiem od 10—30 prec., co spowodowałoby zwyżkę i tak już wygórowanych cen wstępu i obniżenie repertuaru. W innych miastach w Polsce teatry nietylko są zwolnione od podatków od biletów wstępu, ale w wielu z nich korzystają ze znacznych subsydiów. W Łodzi jedynie dwa teatry: TUR i Lutnia korzystają z niewielkiego subsydium Zarządu Miejskiego. Energiczna interwencja dyrekcji teatrów i części radnych odsunęła tę groźbę do dnia 1-go stycznia 1947 r. Mamy jednak nadzieję, że Zarząd Miejski zrewiduje swoje stanowisko i wzorem innych miast przyjdzie teatrom z pomocą, zwłaszcza, że Łódź jako miasto przemysłowe musi mieć dostateczną ilość dobrych teatrów.

Teatr Kameralny pod dyrekcją Kazimierza Rudzkiego i Michała Meliny wystąpił na otwarcie sezonu z dobrą sztuką Shawa „Major Barbara", w której Shaw rozprawia się z wszelkiego rodzaju „idealizmem".

Jako następne projektuje się wystawienie sztuki dramaturga angielskiego Priestleya „Gdy przyszli do miasta"; sensacyjnej sztuki francuskiej Noe i Companeeza „Przyjaciel nadejdzie wieczorem", osnutej na tle działalności partyzantów francuskich; oraz „Spotkania w Senlis" Anouih'a tudzież szeregu najnowszych sztuk autorów polskich i zagranicznych.

Teatr Syrena pod dyrekcją Jurandota wystawił rewię p.t. „Bez żelaznej kurtyny". Humor i satyra nie mają jeszcze możności należytego rozwoju, toteż z uznaniem należy podkreślić wysiłki zespołu podniesienia repertuaru satyrycznego. Dla dawnych warszawiaków wspomnienia teatru „Qui pro Quo" są bardzo miłe, toteż ta część programu „wnuczki dawnego Qui pro Quo" najbardziej podoba się z całej rewii.



„Wnuczka Qui pro Quo" w rewii „Bez żelaznej kurtyny". Od lewej: Jankowski, Dziewoński, St. Górska, Witas i Pawłowski

KRONIKA KULTURALNA

NIE TYLKO WOLNO ale trzeba co pewien okres czasu poddawać rewizji nasze wartości kulturalne, aby się przekonać, które z nich są wiecznotrwałe, wiele bowiem bogów, czczonych niegdyś, czas nieszczędny strąca potem w otchłań niepamięci. Taki sam stosunek krytyczny jaki my miewamy do przeszłości, potomność będzie miała do nas, pogrążając nieraz w zapomnieniu tych, co świecą dziś złudnym blaskiem, dajmy na to Kotta czy Wionczka (wymieniamy te nazwiska tylko dla przykładu), i wznosząc na kolumny takich o których być może dzisiaj nic nie wiemy, jak nie wiedziano o Norwidzie za jego życia. Najczęściej momentami rewizjonistycznymi bywają jakieś rocznice kulturalne: ćwierćwiecze półwiecze, stulecie od czyjejś śmierci czy urodzin. Bierze się wówczas takiego jubilata na stół sekcyjny pod skalpel analizy. Oto w tym roku przypadło 20 lat od śmierci Kasprowicza. Okazja. Więc Wojciech Bąk w „Życiu Literackim" (Nr 16) stwierdza, że gdyby poezja polegała tylko na wirtuozerii słowa, Kasprowicza nie możnaby zaliczyć do wielkich poetów, ponieważ język jego często bywa „chropawy" a „rymy niewyszukane, nawet niedbałe". Wszelako — zauważa rozumnie Bąk — poezja nie zasadza się wyłącznie na mistrzostwie formalnym. Poezja jest swego rodzaju objawieniem, i z tego względu Kasprowicz godzien zająć miejsce obok Mickiewicza i Słowackiego. Stanowisko Bąka jest bezwarunkowo słuszne. Trudno na tym miejscu wywodzić, co to jest poezja. Gdy pewnego wielkiego twórcę zapytano, co to jest sztuka „odpowiedział z uśmiechem: „L'art c'est l'art et voilà tout". I nie było to wykręcanie się sianem ani frazes efektowny. Trzeba te rzeczy odczuć i zrozumieć. Odczucia poezji nie mają zgoła dwaj krytycy z „Odrodzenia" — niejacy „jp" i kjw", którzy — polemizując z Bąkiem — starają się ugryźć Kasprowicza w piętę, nie posiadając przy tym tej szczypty odwagi cywilnej, by podpisać swe „uwagi krytyczne" imieniem i nazwiskiem. Wyznaczają oni miejsce Kasprowiczowi obok Rydla i cytują z jego wierszy młodzieńczych wyrwane zwrotki, na podstawie których usiłują dowieść, że był to niemal grafoman. Zdaje się, że nie znajdziemy ani jednego poety, ani jednego artysty w ogóle, któremu nie moglibyśmy wytknąć najrozmaitszych słabizn. Niektóre młodzieńcze wiersze Mickiewicza i niektóre jego improwizacje są całkiem nieudolne, wyzywające formą swoją — jak to już zauważył Boy — najśmielsze kreacje księdza Baki (np. „Wśród szczęśliwości — niemasz zazdrości — porzućmy plotki — śmieszne zgryzotki"...). Pierwsze powieści Dostojewskiego przypominały romansidła Paul de Kocka, a i w późniejszych — nawet najdoskonalszych — krytyka zarzucała mu niechlujstwa stylistyczne. Krasiński, jeśli chodzi o formę, był wierszorobem, i sam zdawał sobie sprawę ze swej niemocy, skarżąc się: „Bóg mi odmówił tej cudownej miary bez której ludziom nie zda się poeta... a że jej nie mam, jestem wierszokletą". Natomiast bywali wirtuozowie, czarodzieje i żonglerzy formy, jak np. Antoni Lange, który rymował: Zendawesty — rdesty, czerep — ereb, szczeżuja — buja, itp., a którego mimo to nie nazwiemy poetą w znaczeniu twórcy, inicjatora, odkrywcy i objawiciela. Wracając do cytat z Kasprowicza, złośliwie wystawionych na urągowisko przez „kjw", takich jak: „zapłakane wymoczki", „cap na ustach", „pobladła rybka", „wierzby co dyszą melodyjnie" — wyciągnęlibyśmy z nich inne wnioski: zwroty owe świadczyłyby naszym zdaniem raczej o tym, że młodzieńczy Kasprowicz — przed 60-ciu laty gdy komponował w ten sposób — był już zwiastunem dzisiejszej awangardy z Julianem Przybosiem na czele.

JĘZYK JEST INSTRUMENTEM czułym. Trzeba się umieć z nim obchodzić. Trzeba posiadać jego znajomość i kulturę. W przeciwnym razie można bezwiednie popaść w humorystykę, w okolicznościach najmniej po temu odpowiednich, a nawet smutnych i bolesnych. Agencja Prasowa „SAP" w komunikacie o stanie zdrowia prof. Emila St. Rappaporta, który — jak wiadomo — uległ w wypadku ulicznym złamaniu uda, pisze: „Jeżeli nie nastąpią komplikacje, kuracja członka Najwyższego Trybunału prof. Rappaporta nie potrwa więcej jak trzy miesiące". W powyższym zdaniu są dwa błędy: jeden w szyku wyrazów, drugi — bardzo brzydki gramatyczny. Poprawnie zdanie powinno brzmieć: „Jeżeli nie nastąpią komplikacje, kuracja prof. Rappaporta członka Najwyższego Trybunału, nie potrwa dłużej niż trzy miesiące". Cały zresztą komunikat zredagowany jest flejtuchowato i roi się od błędów językowych. Styl agencyj prasowych powinien być wzorem dla naszych dziennikarzy, spośród których wielu nie dorasta dziś do wysokości swego zadania czysto pisarskiego.

St. Łatka



Kiedy przeczytałem w prasie pierwsze wiadomości o utworzeniu Nadzwyczajnej Komisji Mieszkaniowej, od razu ruszyło mnie sumienie. Uderzyłem się w piersi i pomyślałem.

Nie jestem szabrownikiem, ani spekulantem. To prawda. Ale mam trzypokojowe mieszkanie, w które chucham i dmucham w sposób zgoła niedemokratyczny od półtora roku. Najwyższy czas, żeby w nim już zamieszkał kto inny.

Zszedłem na dół do piwnicy, obejrzałem ją. Owszem, przestronna, sucha. Pięć metrów kwadratowych — murowanie. W tym jeszcze balia, też co najmniej metr kwadratowy przestrzeni życiowej. W sam raz dla mojej córki. A ja z żoną świetnie pomieszczę się pomiędzy balią a kartoflami, zwłaszcza, że żona jest nie pracująca i nie ma nic do gadania.

Po przeprowadzeniu tej wizji lokalnej, napisałem list do Nadzwyczajnej Komisji Mieszkaniowej z prośbą, aby przyjęła ode mnie mieszkanie.

Czekałem cierpliwie dzień, drugi, wre-



szcie trzeciego dnia zaterkotał dzwonek u drzwi wejściowych.

Otwieram drzwi — Komisja. Trzech cywilnych obywateli i obywatel milicjant. Jeden z cywilnych przedstawił mi się:

— Kalamburski jestem. Otrzymaliśmy pański list w sprawie mieszkania. Przyszliśmy z panem porozmawiać.

— Ależ proszę bardzo! Poczucie sprawiedliwości społecznej skłoniło mnie do tego kroku. Wszystko oddaję do dyspozycji Komisji: mieszkanie, meble, dwa garnitury, patefon, globus, szczotkę do butów, — nic nie chcę dla siebie. Miałem używanie przez półtora roku, teraz kolej na kogo innego.

— Drogi mistrzu — przerwał mi obywatel Kalamburski — nie możemy się na to zgodzić. Przyszliśmy po to, żeby z panem pomówić, wyperswadować...

— Nie może być żadnych perswazji! — zawołałem z przejęciem. Sumienie mi nie pozwala.

— Niech się pan uspokoi. Proszę nas zrozumieć. Pan jest pisarzem, poetą. Niejako własnością kultury polskiej. Pan musi pisać i mieć wygodne warunki do pracy.

— Obywatelu Kalamburski, — rzekłem, — to są frazesy. Nie jestem żadnym poetą, tylko zwyczajnym grafomanem. Piszę dlatego, że mi za to płacą. A żonę mam w ogóle nie pracującą. Córka zmieści się w balii. Postanowiłem.

— Pan — grafoman? Panie drogi, moje dzieci na pamięć umieją pańskie wierszyki. A żona moja powiada, że Pchła Szachrajka, to właśnie ona. Takich utworów nam potrzeba. Trochę wesołości, mistrzu. Wesołość, to lekarstwo dla duszy w naszych ciężkich czasach.

— Żadne lekarstwo, obywatelu Kalamburski. Lekarstw dostarcza UNRRA. Można je dostać w każdej aptece. A ja jestem zerem. Rozumie pan? Zerem w porównaniu z robotnikiem i chłopem. I żonę mam nie pracującą. Nie, obywatelu! Proszę zabierać mieszkanie. A ja wynoszę się do piwnicy.

Tu wmieszał się do rozmowy drugi członek komisji, pracownik Państwowej Fabryki Siodeł:

— Towarzysz Kalamburski ma słuszną rację. Demokracja nie może dopuścić, żeby pracownik kultury mieszkał byle jak. Mieszkanie należy się wam według manifestu PKWN-u. Wasza rzecz, towarzyszu mistrzu, pisać i wypełniać zamówienia społeczne. A w piwnicy pisać nie można. Nie wykręcajcie się, towarzyszu, od pracy. Łódź to miasto robotnicze i macie obowiązek pracować w swoim fachu. Rymów nie układam, ale jako rymarz znam się na tej sprawie.

— Racja! — rzekł obywatel milicjant. — Z lenistwa chcecie się pozbyć mieszkania. Znamy was, literatów. W balii mieszkać, na ławce, w parku, — byleby tylko nie pisać. Komisja wie, co mówi. A jak nie, — to i przyaresztować może.

Tu znów zabrał głos obywatel Kalamburski.

— Mistrz wybaczy, ale musi pan w tym mieszkaniu pozostać! Trudno. Od postanowienia Komisji nie ma odwołania.

Widząc, że sprawę mam przegraną, skinąłem na żonę i córkę. Wszyscy troje padliśmy na kolana i błagaliśmy na wyrywki:

—Zabierzcie mieszkanie! Przecież w trzech pokojach siedem rodzin bezdomnych może się pomieścić. Ulżyjcie sumieniu. Pozwólcie chociaż cośkolwiek zrobić dla społeczeństwa.

Widząc, że Komisja jest nieubłagana, żona i córka zaczęły głośno szlochać, ja zaś nieznacznie zbliżyłem się do obywatela Kalamburskiego i zaproponowałem mu łapówkę.

Oburzył się na mnie i rzekł patetycznie.

— Nic z tego, proszę pana. Przemawiam w imieniu demokracji. Musi pan zostać w swoim mieszkaniu i tworzyć ku radości i uciesze polskich dziatek.

— Tak jest! — zawołali pozostali członkowie komisji.

Nie było sposobu. Zrezygnowany otarłem pot z czoła, podniosłem z ziemi nie pracującą żonę i rzekłem:

— Jeżeli jest tak, jak obywatele mówicie, poddaję się demokracji. Vox populi, vox dei.

Wtedy obywatel Kalamburski wzruszony do łez, porozumiał się ze swoim sumieniem i rzekł do mnie szeptem:

— Mam jedną myśl. Postaram się coś dla pana zrobić.

I rzeczywiście.

Nazajutrz o siódmej rano obudził mnie dzwonek. Otworzyłem drzwi. Ujrzałem naprzód uśmiechniętą twarz obywatela Kalamburskiego, a za nim jegomościa w berecie z niewiastą i trojgiem dzieci. Weszli do mieszkania taszcząc za sobą dwanaście tobołków, worek z pościelą, maszynkę elektryczną i foksterierka.

— Powiedziałem, że postaram się coś dla pana zrobić, — rzekł z triumfem obywatel Kalamburski. — Widzi pan, dotrzymałem obietnicy. Jeden pokój odda pan tej rodzinie. Przynajmniej w części pragnieniu pana stanie się zadość. Ci chłopcy, Kazio, Waluś i Feluś, uwielbiają pana. Znają na pamięć wszystkie pańskie bajeczki. Słowo daję.

Ukłoniłem się przybyłym z niekłamanym wzruszeniem, zaś obywatel Kalamburski ciągnął dalej:

— Ten pan — to także artysta, — wirtuoz na okarynie, — pracuje w Przedsiębiorstwie Państwowym Nr. 1. A jego



żona jest instruktorką śpiewu w Okręgowym Urzędzie Likwidacyjnym. Poznajcie się państwo.

— Kobyłko jestem, — rzekł jegomość w berecie.

Przedstawiłem się również, ucałowałem spracowaną dłoń pani Kobyłko, po czym wprowadziłem całą rodzinę do jednego z moich pokoi.

Obywatel Kalamburski pożegnał się z nami serdecznie, a myśmy zaczęli nowe, wspólne życie.

Pan Kobyłko ćwiczył na okarynie, pani Kobyłko śpiewała pieśni burłaków z nad Wołgi, a Kazio, Waluś i Feluś dawali mi nieustające dowody uwielbienia, nie mówiąc już o foksterierze, który też był wielce umuzykalniony. Noce były ciężkie, gdyż najmłodszy z chłopców Feluś, miewał straszne sny i wtedy krzyczał wniebogłosy.

Starsi chłopcy od wczesnego świtu recytowali mi moje utwory, a pan Kobyłko obiecał mi, że skomponuje do nich melodię. Moja nie pracująca żona znalazła wreszcie zajęcie: sprzątała po foksterierze, który z namaszczeniem podlewał wszystkie meble.

Rano wstawałem niewyspany, a w ciągu dnia głowa mi pękała. Pan Kobyłko grał, pani Kobyłko śpiewała, dzieci recytowały, pies wył i szczekał.

Po pewnym czasie dostałem lekkiego rozstroju nerwowego, żona wyjechała do Kochanówka, a córka zamieszkała w balii.

Dzieci państwa Kobyłko zagospodarowały się w moim gabinecie i puszczały bańki mydlane.

Któregoś dnia, najstarszy z chłopców Kazio, dorwał się do moich rękopisów, porobił z nich strzały, a potem wraz z Walusiem i Felusiem powyrzucali je przez okno.

Kiedy wszedłem do gabinetu, było już po wszystkim. Widząc moją rozpacz, dzieci zaczęły mi tłumaczyć, że strzały rzucały w niebo, gdyż chciały, aby aniołki także mogły przeczytać moje bajeczki.

Pani Kobyłko z rozrzewnieniem spoglądała na swoje dziatki.

A ja — wyszedłem na klatkę schodową, otworzyłem okno i wyskoczyłem z czwartego piętra na bruk.

Ten felieton napisałem po drodze — spadając.

Jan Brzechwa



Od i do Redakcji

P. L. K. w Częstochowie. Nie zamieścimy z powodu braku miejsca.

P. Nowicki St. w Krakowie, P. Złotnicka M. w Wałbrzychu, P. Gralewski J. w Lublinie, P. Wąsik St. w Siedlcach. — Nie skorzystamy. Prosimy o dobre reportaże, korespondencje z terenu o ile możności ze zdjęciami.

P. Kazimierz Edmund w Lublinie. Treść nadesłanego rebusu jest dobra, mamy tylko zastrzeżenia do rysunku zaprojektowanego przez Pana, gdyż niedopuszczalne są w rebusach przekreślenia. Prosimy jednak o nadsyłanie projektów.

P. Rostkowski J. w Warszawie. W najbliższym czasie, po zakończeniu konkursu rebusowego ogłosimy nowy na szarady, krzyżówki itp. oraz inny o którym szczegóły podamy w następnym numerze.

P. Borecki Eustachy w Warszawie. Nadesłany materiał częściowo wykorzystamy.

P. Makowska Z. w Radomiu. „Historia Polski" St. Cat-Mackiewicza wydana została w Anglii.

P. Lewandowska M. w Łodzi i P. Szymańska Z. w Warszawie. W najbliższym czasie umieścimy przysłowia dotyczące mężczyzn. „Przysłowia Polskie" w wydaniu książkowym ukażą się w druku w początku 1947 r. o czym naszych czytelników poinformujemy.

P. Gustaw Meyer w Łodzi. Informacji, o które Pan prosi udzielimy w następnym numerze.

P. Deny Jan w Katowicach, P. Olszewski B. we Wrocławiu, P. Grabowiecki Stanisław w Warszawie. Dziękujemy. Nadesłane materiały do „Sklerozy" wykorzystamy.

P. B. Bolko w Częstochowie. Pomysł i zdjęcia dobre. Wykorzystaliśmy motyw jesieni w Nr. 13, ale prosimy o dobre zdjęcia na okładkę, jaśniejsze i ostre. Nadesłane zdjęcie postaramy się wyzyskać.

P. Jan Obuchowicz w Krakowie. Po sprawdzeniu wyjaśniamy, że p. Janusz Jeżewski nie ma nic wspólnego z dawnym współpracownikiem „Polski Gospodarczej".

SKLEROZA

CO TYDZIEŃ NAGRODA

Prosimy czytelników o przysyłanie nam wszelkiego rodzaju materiałów do „Sklerozy" z zaznaczeniem, skąd są wzięte i z potwierdzeniem ich autentyczności. Za najlepszą rzecz tygodnia

PRZEZNACZAMY 150 ZŁ NAGRODY

●

W ubiegłym tygodniu nagrodę 150 zł. otrzymała p. Irma Kinast (Warszawa—Żoliborz, Słowackiego 5/13 m. 153) za wycinek z pamiętników Stanisławy Walasiewiczówny pt. „W pogoni za rekordem", ogłoszony w „Życiu Warszawy — Wieczór" (Nr. 6 z dn. 23.9. 1946 r.).

Urodziłam się 3 kwietnia 1911 roku w małej, biednej wiosce. Nazywała się Hownica. Leżała blisko granicy rusko-pruskiej. W tych latach wielu chłopów emigrowało do Stanów. Pojechał i mój ojciec... Moje pierwsze wspomnienie z dzieciństwa, to długa droga piaszczysta. Matka niesie mnie na rękach owiniętą w chustkę, była to droga do Brodnicy. Matka chodziła tam dowiadywać się o list od ojca. List nadszedł, nadeszły pieniądze. Pojechałyśmy razem z matką do Stanów. Był to rok **1912**... I znów drugie wspomnienie, to niebieska ogromna woda. Morze.

Niech czytelnicy zgadną, dlaczego ten fragment pamiętników naszej sławnej biegaczki dostał się do „Sklerozy".

CO ZACZ?

W „Kalendarzyku historycznym" „Dziennika Łódzkiego" (Nr. 263/450) na dzień 24 września czytamy: „Dziś — Ładysława i Gielniewa"; w tymże „kalendarzyku" na dzień następny 25 września (Nr. 264/451) mamy: „Dziś Ładysława z Gielniewa"; w kalendarzykach kieszonkowych i w kalendarzach biurowych na dzień 24 września przypada Gerarda B.m., a 25 września — Pelagiusza; encyklopedia i „Księga imion polskich" Bystronia znają tylko „błog. Ładysława z Gielniowa". Bądź tu mądrym.

GDZIE SYNEK?

P. S. Garstecki (Wągrowiec, ul. Poznańska 15) nadsyła nam następujący wycinek z „Radio i Świata" (Nr. 3 z dn. 22—28 września r. b.):

W poniedziałek 23.9. o godz. 16.35 nadany zostanie z Rozgłośni Warszawskiej kwadrans autorski Czesława Janczarskiego. Radiosłuchacze usłyszą wojenne wiersze poety, wyjęte z przygotowanego do druku tomu pt. „Eskadra wiosny". Oto jeden z wierszy:

Urodził się synek

W stuku butów żołnierskich, otwierano
okna
i do pokoju wpływał świeży powiew nieba
po przemarszu każdej kompanii był
przecinek,
ociekająca deszczem piosenka mokra,
zwężała się do ciszy jak aleja.

P. Garstecki zapytuje: gdzie tu ma być synek? czy może jako projektowany, pomyślany dopiero rym do „przecinek"? Naszym zdaniem — nie. „Przecinek" jest omyłką w druku. Należy czytać tak: „po przemarszu każdej kompanii rodził się synek".

WARUNKI KONKURSU

W Nr. 6 ogłosiliśmy konkurs na rebusy które podawane będą w 10 kolejnych numerach.

Dziś zamieszczamy 10-ty z kolei rebus. Suma najwiecej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej.

Jako nagrody Redakcja przeznacza:

1 nagroda — 1500 zł.
2 nagrodę — 1000 zł.
3 nagrody po 500 zł.
10 nagród — prenumerata kwartalna „Tygodnia".

W razie równej ilości zdobytych punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi nadsyłać należy po zakończeniu konkursu do dnia 4 listopada b. r. do redakcji „Tygodnia", Łódź, ulica Pomorska 37/1.

Za rozwiązanie rebusu w Nr 15 przyznane będą 3 punkty.



Anegdoty historyczne

GOŁY ROZBOJU SIĘ NIE BOI

Pewnej nocy do mieszkania Balzaka zakradł się złodziej. Nie wiedział, że znakomity pisarz ma zwyczaj kłaść się nad ranem, zajęty przez noc albo pracą pisarską albo lekturą. Tej nocy Balzak z książką w ręku leżał na szezlongu w sypialni. Usłyszawszy szmer w przyległym gabinecie, uchylił lekko portiery i zajrzał. W świetle księżyca zobaczył, jak złodziej, który się tu dostał przez otwarte okno, majstrował przy szufladzie biurka, tak zatopiony w swej pracy, że nie odczuł nawet obecności gospodarza, stojącego za nim. Balzak wybuchnął niepowstrzymanym śmiechem. Przerażony złodziej odwrócił się, lecz nie zdając sobie widocznie sprawy z sytuacji, wymamrotał w roztargnieniu:

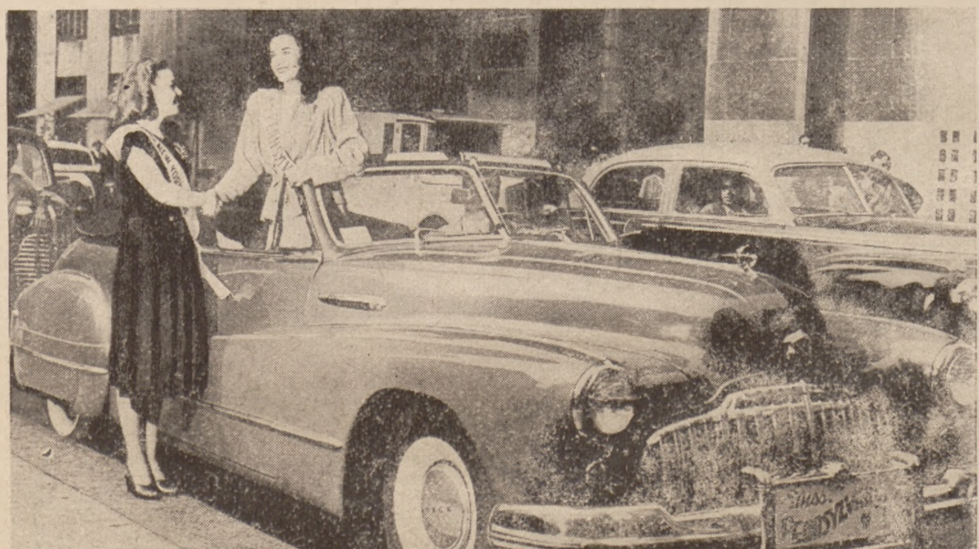
— Z czego się pan śmieje?

— Śmieję się — zawołał Balzak — bo przychodzisz po nocy szukać pieniędzy tam, gdzie ja ich w pełni słońca znaleźć nie mogę.

NAJPIĘKNIEJSZE KOBIETY U. S. A. I KANADY

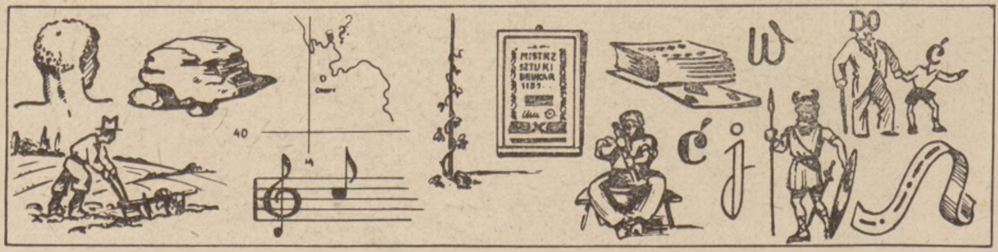


52 piękności ze wszystkich stanów USA i Kanady ubiegają się o tytuł „Miss America 1946" w Atlantic City.



„Miss Pensylvania" 1946 prezentuje swojej rywalce w konkursie „Miss America" na 1946 — „Miss Nev York" otrzymany w darze od swych licznych wielbicieli samochód.

KONKURS „TYGODNIA" NA REBUSY





Zagadka siódma

W I E L K I KONKURS FOTOGRAFICZNY

Zgodnie z zapowiedzią w Nr 8 „Tygodnia" — zamieszczać będziemy co tydzień jedną zagadkę fotograficzną. Rozwiązanie polegać będzie na odgadnięciu treści ilustracji oraz wypełnieniu odpowiedniego kuponu. Kupony wszystkie razem przesłać należy najpóźniej do dnia 17 grudnia 1946 r. do redakcji „Tygodnia". Za prawidłowe rozwiązanie każdej z zagadek rozwiązujący otrzymuje pewną ilość punktów. Zwycięży w konkursie posiadacz największej ilości punktów. W wypadku jednakowej ilości punktów o podziale zadecyduje losowanie. Oto wykaz nagród:

1 nagroda — 3000 zł.
2 nagrody po 1000 zł.
5 nagród po 500 zł.
10 nagród po 250 zł.
32 nagrody — prenumerata kwartalna „Tygodnia".

Wyniki konkursu podamy w numerze 25 z datą 29.12. 1946 r. Polecamy zatem uwadze czytelników siódmą z 15 zagadek, umieszczoną w dzisiejszym numerze.

(za rozwiązanie 5 punktów)

Zagadka Nr 7

„Jeśli spotkasz w drodze statek o czerwonych żaglach i trupią czaszką, o masztach czarnych jak smoła, na rufie którego stoi blada załoga, czuwająca bez spoczynku, wiedz żeglarzu, że kapitanem statku jest... — tak i podobnie śpiewały pokolenia marynarzy różnych krajów, wyruszając na niebezpieczne i ryzykowne wyprawy. I długo wierzono, że szczęście na morzu związane jest ze statkiem ponurego kapitana, którego okręt ustawicznie krąży po morzach, zjawiając się w krytycznych momentach przerażonym załogom, skazanym wyrokiem losów na zagładę. Jak nazywa stara baśń morska ponurego kapitana?

KUPON 7

Zagadka Nr 7 — 5 punktów

....
nazwisko i imię
....
....
adres
....
rozwiązanie



Laokon naszych czasów

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień" ● Redaguje: zespół redakcyjny ● Redaktor naczelny przyjmuje 13—14 ● Redakcja rękopisów nie zwraca.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Pomorska 37, m. 1, tel. 14-906 ● Prenumerata miesięczna 30.— zł ● Konto P.K.O. Łódź VII Nr 4321
Ogłoszenia: cena za 1 mm wysokości na szerokość 1 szpalty — 50.— zł ● Druk: Zakłady Graficzne „Społem" Łódź, ul. Andrzeja Struga 63 ● D. 011103